



Warszawa d. 2 (14) Kwietnia 1878.

N^o 15

Serya piąta.—Rok trzynasty

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 6,—półrocznie rs. 3,—kwartalnie rs. 1 kop. 50—miesięcznie kop. 50. Redakcja i Ekspedycja główna: ulica Czysta N^o 415 (nowy N^o 2).

Każdomiesięcznie jako premium dołącza się jeden tom powieści lub utworów popularno-naukowych, oraz przy każdym numerze arkusz dzieła „Panteon wiedzy ludzkiej.”

Prenumerata na Prowincyi:

Rocznie rs. 8,—półrocznie rs. 4,—kwartalnie rs. 2.

W Austrii, we Lwowie: w księgarni Richtera, cena roczna 14 guldenów;—w W. Ks. Poznańskiem u M. Leitgebera 8 talarów.

SPIS ARTYKUŁÓW: Gordyjski węzeł.—Piękna, dramat w 4-eh aktach, Wł. Okońskiego. (ciąg dalszy).—Historia Cywilizacji i badanie natury, podług naukowych konferencji M. Dubois-Reymonda. II.—Kresy dziejowe. Szkic A. G. Bema. VIII.—Danaowie postępu.—Z Galicji. II.—Królowsy Synowie, powieść przez J. I. Kraszewskiego.—Kronika Powszechna.—Przeгляд Polityczny.—Sprostowanie.—Do wszystkich.—Echa XV.

GORDYJSKI WĘZEŁ.

Niezrozumiałe dla niewtajemniczonych zagadki przebiegu turecko-rosyjskiej wojny, dzięki rozdrażnieniu stron interesowanych, zaczynają się powoli wyjaśniać. Jedną z takich zagadek była niewątpliwie neutralność Anglii. Na początku starcia politykujący ogół, zbalamucony gadaniną londyńskiego gabinetu o „interesach angielskich”, przypuszczał na pewno, że gdy Rosya zbliży się do niewidzialnej granicy owych interesów, spotka natychmiast groźny i zbrojny opór John Bulla. Tymczasem zwyciężkie wojska posuwały się coraz dalej, zajęły większą część Turcyi europejskiej, stanęły przed bramami Konstantynopola, na to wszystko gabinet londyński patrzył spokojnie i zimno, chociaż sądzono, że jego „interesa” zaraz po za Bałkanami „obrażone” zostały. Czyż ta jego neutralność nie była trudną do rozwiązania zagadką? Długo czekaliśmy na klucz do niej, aż wreszcie dostarczył go lord Beaconsfield w swej ostatniej, bardzo szczerej mowie. „Żadne mocarstwo—rzekł on według ogłoszonego przez dzienniki nasze telegramu—nie może uznać się za zwolnione ze swych zobowiązań traktatowych bez zgody innych mocarstw na traktacie podpisanych. Jest to rzecz ważna, widzimy też, że rząd (angielski) już w początkach wojny upominał się o tę zasadę. Zasada ta jest fundamentem polityki i dyplomacji angielskiej, na niej się polityka Anglii oparła i gdyby Rosya nie była oświadczyła, że się zgadza na wspomniane zobowiązania, Anglia nie byłaby mogła przyjąć polityki neutralności”. Otóż w tych słowach mamy daremnie poszukiwaną odpowiedź na zagadkę biernego zachowania się Anglii. Jej plan odsłania nam się teraz wyraźnie: niech Rosya—mówiono sobie w Londynie—posuwa się w swych zdobyciach jak najdalej, ostatecznie zdobędzie to tylko, co podpisane na traktacie paryskim mocarstwa jej przyznają. Bo wszakże zobowiązała się nie robić żadnych układów samodzielnie, może więc swobodnie Turcyę rozbijać, skoro nagrodę tych zwycięstw Europa jej określi. Zawodem tych optymistycznych marzeń był traktat w San-Stefano, który wprowadził część międzynarodowych stosunków pozostawił do uznania europejskiego kongresu, wiele jednakże z pod

jego władzy wyłączył. To wyłączenie zakończyło angielską neutralność i dało początek dyplomatycznej walce, która do dziś się toczy i która może dopiero orężem się rozstrzygnie. Anglia, zawiedziona w swej rachubie, że Rosya będzie się bić, a Europa o rezultatach walki decydować, pragnie teraz uratować swoje interesa obroną interesów Europy. „W tej chwili—powiada lord Beaconsfield—idzie o najważniejsze interesa Anglii, a nawet o wolność Europy”. Jakkolwiek emfaticzny ten frazes grzeszy wielką przesadą, bo trudno uwierzyć, że wolność Europy zależy od unieważnienia traktatu San-Stefano, niemniej w tej, od pewnego czasu ciągle powtarzanej apelacji do interesów Europy widzimy zręczny obrót polityki angielskiej, której udało się przeciągnąć na swą stronę Austryę, Francję, Włochy, a nawet skokietować dwulicowe Niemcy. Krytykę turecko-rosyjskiej umowy, nkreślonej przez Salisburego, widocznie przyjęto za podstawę opozycji innych dworów, skoro lord Beaconsfield tak śmiało ją rozwija. „Traktat San-Stefano (słowa cytowanej poprzednio mowy angielskiego kanclerza) niszczy zupełnie to, co się nazywa Turcyą europejską i wytwarza niezaludnioną przez Bulgarów Bulgaryę; odbiera Turcyi porty morza Czarnego i Egejskiego, a greckim prowincjom Epirowi i Tessalii nadaje prawa przez Rosyę narzucone. Morze Czarne, jak Kaspijskie, staje się rosyjskiem jeziorem. Sprawa bessarabska nie jest bynajmniej sprawą pobocznego i miejscowego znaczenia; jest to sprawa, której już Palmerston wielką przyznawał ważność, uznając ją za związaną z kwestyą niepodległości żeglugi na Dunaju. Gdyby traktat San-Stefano został wprowadzony w życie, naraziłby nietylko handel Anglii z Persyą, lecz także swobodę żeglugi po cieśninach, gdyż Turcyja stałaby się wasalem Rosyi... Niepodobna przewidzieć, co się stanie. Droga Anglii do Azji może być zamknięta; armia rosyjska może wyruszyć do Syrii, Egiptu, zająć Kanał Suezki. Czyliż więc Anglia w takich okolicznościach, gdy wszyscy są uzbrojeni, mogła nieuzbrojoną pozostać?”

Jak widzimy, sprawa wschodnia, a raczej rosyjsko-angielska, stanęła na ostrzu noża. Bo jakkolwiek układ w San-Stefano nosi tytuł jedynie „traktatu preliminaryjnego”, a zapewnione w nim przywileje dla Bulgarów—tytuł bezinteresownej ofiary, to jest

jakkolwiek warunkowa jego forma otwiera drogę ustępstwom, niemniej ustępstwa te, w zakresie przez Anglię żądanym, pozbawiłyby Rosyę całego owocu, a więc i celu zakończonej wojny. Głównym jej rezultatem jest nabycie Bessarabii, korzyści na morzu Czarnem i usamowolnienie Bulgaryi. Akurat tyle, jeżeli nie więcej, każe rzec się Anglii. Zadowolniejszy ją, możnaby się spytać: po cóż była prowadzona tak krwawa i kosztowna wojna? Naturalnie pytanie to jest obojętnem dla Anglii, ale nie może być obojętnem dla Rosyi. Z takiego układu rzeczy tworzy się istotnie położenie bez wyjścia... pokojowego. Czy wyjście to otworzyć musi wojna? Takby sądzić należało. Gdy jednak zważymy, że ona jest ryzykiem, niebezpieczniejszem niż poddanie się konieczności, że dyplomacya posiada niewyczerpane sposoby zaszczytne go pozorowania odwrotów, że jej czasem jeden sofizmat wystarcza dla uratowania przykraj pozycyi, obecny węzeł gordyjski może się jeszcze pokojowymi środkami rozplątać. Gdy wszystkim pomysłów na rozplątanie go zbrakło, zwrócono się znowu do bogatej w nie głowy księcia Bismarka. Czy on mu szczęśliwie poradzi—wątpimy. W każdym razie zakończenie obecnego sporu w przedmiocie sprawy wschodniej będzie jednym z najciekawszych faktów w historii europejskiej polityki. Bo jeżeli zwaśnione strony pogodzi oręż, doczekamy rezultatów olbrzymiego i na długą przyszłość wpływowego procesu; jeżeli zaś je pogodzi trybunał dyplomatyczny, będziemy świadkami niezmiernie interesującego wyroku, którego osnowy dziś nikt nie przewiduje. Zasada sprawiedliwości, narodowości i cywilizacji rozsądzić winna sprawę wschodnią—wyrzekł przed paru dniami jeden z włoskich ministrów; wkrótce przekonamy się, czy taki skład sądu, do którego cośkolwiek dodać trudno, dla zdecydowania tej sprawy powołanym zostanie. Dotychczasowe znaki nadziei tej nie wróżą. Wiele słyszemy o interesach, handlowych drogach, rzekach i morzach, ale nie a nie o sprawiedliwości, narodowości i cywilizacji. Cóż one wszystkie razem pomogą, jeśli np. doowiedzionem będzie, że jedno państwo czegoś na granicach swoich nie ścierpi, a drugie morza potrzebuje?

PIĘKNA.

Dramat w 4-ach aktach.

Wł. OKOŃSKIEGO.

SCENA X.

ZENON i RYSZARD.

RYSZARD.

Ach panie, jeśli ja tego wołu z pozłacanymi rogami dziś ztąd nie wypędzę, to jutro założę bractwo cierpliwości. Przez całe życie nie potrzebowałem tyle zimnej krwi. Licho ojca skusiło wplątać się z nim w stosunki pieniężne, za które teraz znosić trzeba jego garbarskie zuchwałstwo. Jeszcze do tego wszystkiego pewnie ojciec wyprze się chęci założenia ogrodu.

ZENON.

Dla czego?

RYSZARD.

Dla tego, że nigdy zakładać go nie myślał.

ZENON.

Zkądże pan...

RYSZARD.

Powiem panu otwarcie. Gracyan rzeczywiście pierwszy dziś oświadczył tę gotowość pani Emilii, ale że ja, znając jego zapalę do profesorskiej, odrazu dostrzegłem rachubę po za maską bezinteresownej usługi dla profesora, chciałem go odciągnąć od podstępного zamiaru niby takimże dawniejszym zamiarem ojca.

ZENON.

Którego pan pewnie nie uprzedziłeś?

RYSZARD.

Nie miałem czasu.

ZENON.

Wpędziłeś się, hrabio, w przykrą pułapkę.

RYSZARD.

Liczę jeszcze, że mnie ojciec z niej domyślem wyratuje.

ZENON.

I sam w gorszą wpadnie.

RYSZARD.

Jakto w gorszą? Bez wątpienia byłaby to dla niego ofiara ciężka, ale tam, gdzie idzie

o dobro nauki, której jest mecenasem, i dobro człowieka, którego za syna swego uważa, nie powinien się przed takim poświęceniem cofnąć. Zresztą wyznam panu, że czuję jakieś idealne przywiązanie do pani Emilii i nie chciałbym, ażeby ją pod ucziwami pozorami bałamucił jakiś bezczelny dukat.

ZENON.

A więc nauka, życzliwość dla profesora i idealne przywiązanie do jego żony—to panu każe usunąć Gracyana i założyć botaniczny ogród?

RYSZARD.

Dla czego dostrzegam w słowach pańskich pewne niedowierzanie?

ZENON.

O, nie. Chciałem się tylko upewnić, czyś pan rzeczywiście trzy tak wzniosłe pobudki razem uczuł i pogodził.

RYSZARD (podając mu rękę).

Jeśli pan będziesz mógł być wyrozumiałym, ja będę, zwłaszcza co do jednej z tych pobudek, szczerzym. Ale później. Tymczasem pomóż mi pan.

ZENON.

I mnie bardzo wiele zależy na tem, ażeby ów ogród botaniczny był w mieście: postaram się więc Gracyana od tego zamiaru odciągnąć, ale czy ojca pańskiego nakłonię?

RYSZARD.

To ja załatwię. Mam na niego w tym razie skuteczne lekarstwo. Chociażby się najbardziej upierał, gdy mnie zobaczy gruchającego do panny Teresy, zaraz zmięknie i na urządzenie ogrodu kości swoich przodków do cukrowni sprzeda, jeśli mu pieniądze nie starczy.

SCENA XI.

Ciż, GRACYAN i JANUSZ, później TERESA.

JANUSZ (wchodząc z Gracyanem).

Tylko powodzenia życzyć mogę i bynajmniej przeszkadzać nie będę. Ale kto panu powiedział, że ja taki ogród założyć chciałem?

GRACYAN (stając przed Ryszardem).

Własny syn pański.

JANUSZ (zdziwiony).

Ty, Ryszardzie?

RYSZARD.

Ja, ojcie kochany, bo kiedyś o tem mi wspominałeś a dziś albo nie pamiętasz, albo nie uważasz za stosowne wtajemniczać pana Gracyana w swoje zamiary.

GRACYAN.

Najmniej tego potrzebuję.

JANUSZ (do Ryszarda).

Moje dziecko, chyba mnie źle zrozumiałeś. Wreszcie, po co się spierać? Czy my panu Bosławskiemu zrobimy wygodę, czy pan Gracyan—to wszystko jedno, a lepiej, że zrobi ten, kto łatwiej może.

RYSZARD (do Gracyana).

Odwoluję więc pretensje ojca i dla uratowania honoru swej pomyłki sam stoję do współzawodnictwa z panem. Tymczasem idę przeprosić pańską siostrę, żem ją dla naszej sprzeczki opuścił. (oddala się)

JANUSZ (zakłopotany).

Albo ja wiem, może coś podobnego mówiłem...

ZENON.

Gdyby tego było potrzeba, służyłbym panu hrabiemu za świadka.

JANUSZ.

Jakto, że miałem taki zamiar?

ZENON.

Sam od pana hrabiego słyszałem.

JANUSZ.

Patrz pan dobrodzieju, przysięgłbym, że mi się nawet nie śniło. Bądź co bądź, dziś tej myśli się zrzekam, chociaż wiem, że Ryszardowi przykro będzie... (spozstrzega Ryszarda wchodzącego z Teresą) Jak panowie sądzą, ileby ta zabawka kosztowała?

GRACYAN.

Tysiące rubli.

JANUSZ (spoglądając co chwila na Ryszarda z Teresą przechadzających się w głębi).

Fuj! za droga. Ale jeśli koniecznie potrzeba...

GRACYAN.

Cóż znowu? Przecież ja pana hrabiego wyręczam.

JANUSZ.

Wolałbym Ryszarda nie martwić.

GRACYAN.

Pociesz się łatwo czem innym.

ECHA WARSZAWSKIE.

XV.

Myśl uczczenia jubileuszu Kraszewskiego wyborem jego powieści znalazła w naszym społeczeństwie dobry istotnie grunt dla swego urzeczywistnienia. Wydawca Tygodnika Ilustrowanego ogłasza w ostatnim numerze swego pisma, że z 8,000 egzemplarzy pozostało zaledwie sześćset, które niezawodnie wkrótce się rozejdą. Sądząc, że początkowo zaprojektowana liczba egzemplarzy okaże się za małą i nie chcąc nowych nabywców narażać na zawód lub długie oczekiwanie, wydawca wyboru pism Kraszewskiego postanowił powiększyć nakład o cztery jeszcze tysiące. Tym sposobem wydawnictwo to rozejść się może w dwunastu tysiącach egzemplarzy, to jest w ilości, nie ze względu na zasługi Kraszewskiego, lecz na nasze stosunki, bardzo już okazałej.

Przed kilku dniami zmarł w Nicei Leopold Kronenberg, człowiek, który długo wywierał szeroki wpływ na ekonomiczne ruchy naszego kraju i który w tej dziedzinie był osobistością najpowszechniej znaną.

W ostatnich latach skutkiem omdlałej energii i trudnego z drugim naszym finansowym królem, Blochem, współzawodnictwa, działalność nieboszczyka zaczęła słabnąć. W czasach wszakże dawniejszych panował on w świecie finansowym bez podziału. Olbrzymi wyścig o kolej Nadwiślańską był ostatnim większym jego wysiłkiem. Bezpośrednio z nim złączeni chwałą liczne jego cnoty.

Gazeta Polska, zawiadamiając o przeniesieniu poczty na Plac Warecki, ponownie upomina się o napisy na jej oddziałach w języku polskim, gdyż niezający języka urzędowego blakają się po rozmaitych biurach, stają się ofiarą ciągłych omyłek i zalegają niepotrzebnie miejsca, wyczekując całymi godzinami objaśnienia. My do tej uwagi dodamy jeszcze dawno już przez nas podniesioną myśl urządzenia pocztowych filii. Jedna poczta w tak wielkim mieście jest doprawdy urządzeniem niepojętem. Centralizacja administracyjna nic na tem nie straci, że powstanie kilka kantorów dla odbioru i wydawania korespondencji. Jeżeli prywatny przedsiębiorca, p. Unger dla wygody interesantów urządził w środku miasta kantor swych wydawnictw, to dla czegoż poczta, która ma niewątpliwie więcej interesantów, nie chce czegoś podobnego uczynić? Przed

tem pytaniem można albo smutno się zadumać, albo dziękczynnie westchnąć: o nieba, jakże wam wdzięczni jesteśmy, żeście nam pozwoliły zbudować więcej niż jeden wodociąg, więcej niż jedną kolej, więcej niż jedną skrzynkę do listów!

Wędrowiec w N-rze 65 zamieścił portret i życiorys prawdziwego „Wuja Toma”, bohatera słynnej powieści pani Beecher-Stowe. Według szczegółowej biografii, Wuj Tom nazywał się Josiah Henson a przyszedł na świat 15 czerwca 1789 roku w hrabstwie Charles (Maryland). W czwartym roku życia oderwany od ojca, niewolnika, wraz z matką pracował w plantacjach Izaaka Riley w hrabstwie Montgomery. Matka wychowywała go w zasadach religijnych, a choć nie umiał czytać ani pisać, stał się jednym z najlubieńszych kaznodziej metodystowskiego kościoła. Po bankrutowaniu Izaaka, Josiah przeniósł się do Kentucky do Amosa Riley brata swego poprzedniego pana. Tu się ożenił i coś nawet zaoszczędził jako zdolny i zręczny robotnik; lecz nagle Amos Riley odesłał go napowrót do Izaaka, który go przyjął niechętnie bez żadnego widocznego powodu. Kiedy Josiah Henson wystarał się o 450 dolarów żądanych za kupno wolności, pan podniósł cenę wykupu do 1,000 dolarów. Sam Wuj Tom wyznaje, że mu

Ty oszalałeś!
ZENON.

Henryk.
Strzeż się wuju, ażebyś także przy niej nie oszalał! (*wybiega*)

Irena (*wpadając*).
Co on tak wzburzony panu mówił?

Zenon.
Jak zwykle: że panią kocha.
(*Zastona spada*).

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

HISTORIA CYWILIZACJI

i badanie natury,
podług naukowych konferencji
M. PUGOIS-REYMONDA.

II.

(Okres spekulatywno-estetyczny.)

Buckle przypisuje charakterowi greckiego krajobrazu poczucie miary, wyróżniające geniusz Greków. Wyobraźnia ich nie działała w rozkiełzaniu; zmysł badania powstrzymywał ją, nie podcinając skrzydeł. U kapłanów egipskich mogli oni w początku coś zapożyczyć, ich wszakże pojęcie natury bardzo zbliżyło się do stanowiska naukowego. Pojęcie to, zmieszane jeszcze z antropomorfizmem, występuje już w systematach fizyków jońskich, w dwa wieki zaś potem wznosi się do takiej wysokości, że w teorii Epikura rozpoznajemy już zaród prawa o zachowaniu siły, na którym oparł się śmiały gmach nowoczesnej fizyki. A chociaż Epikur prawa tego wyraźnie nie sformułował, dowiódł go prawie takimże rozumowaniem, jak Leibnitz w dwa tysiące lat później.

W zagadnieniach więc podstawowych starzy myśliciele posunęli się tak daleko, albo raczej tak mało, jak i my.

Pod imieniem nauk przyrodniczych rozumiemy nie tylko sumę wiadomości o martwej i żywej naturze, o jej zjawiskach i prawach, lecz zarazem świadome posiadanie jedynej metody, która może służyć do pomnożenia tych wiadomości i również świadome stosowanie jej do celów praktycznych — żegluga, medycyna i t. d. Tego rodzaju więc umiejętność jest metodycznym ujarzmieniem natury i użytkowaniem jej dla wzmocnienia

potęgi, dobrobytu i przyjemności człowieka. Tak pojęta znajomość natury — rzecz można — u Greków i Rzymian nie istniała. Początki obiecywały wiele, lecz siła twórcza zawiodła. Przez ciąg dziesięciu wieków, dzielących Talesa i Pitagorasa od upadku Cesarstwa Zachodniego, niektóre umysły wzniosły się rzeczywiście do nadzwyczajnej miary. Arystoteles i Archimedes zasługują niewątpliwie na to, żeby ich zaliczyć do największych mistrzów ludzkości. Szkoła Aleksandryjska przez czas pewien przykładała się również do postępu. Lecz nic nie wykazuje bardziej ohwiejnego pochodzenia wiedzy starożytnych, jak Pliniusz, pozbawiony krytycznego zmysłu kompilator, który w tyleż lat wystąpił po Arystotelesie, w ile Newton po R. Baconie.

Historia ducha ludzkiego przedstawia niewiele godniejszych uwagi zjawisk. Narody, których utwory sztuki są do dziś dla nas rozkoszą, które w metafizyce, dziejach i prawie zostawiły nam klasyczne wzory, które są jeszcze naszymi mistrzami w wymowie, prowadzeniu wojny, w administracji i sądownictwie, też same narody w dziedzinie wiedzy przyrodniczej nie wzniosły się ponad poziom dziecięcej naiwności i kapryśnego fantazywania. Umysł ich chętnie wlatywał na skrzydłach Ikara w sferę oderwanego myślenia, lecz nie miał tej rozważnej cierpliwości, potrzebnej do kroczenia po drodze indukcji, drodze przykrej, chociaż jedynie pewnej, jeżeli od szczegółowych, dokładnie zaobserwowanych faktów chcemy dojść do prawd ogólnych; nie był zdolnym przejść metodycznie, krok za krokiem, od przypadku do prawa.

Starożytni nie umieli naukowo obserwować. Fiziologia uczy nas, że trzeba umieć patrzeć.

Pomijając zjawiska zbyt subtelne, których poznanie zawdzięczamy nowszym dopiero czasom, zatrzymajmy się przy najbardziej widocznym. Starożytni mogli na swem jasnym niebie daleko łatwiej niż my obserwować gwiazdy, które również miały dla nich większą niż dla nas praktyczną ważność, gdyż przed wynalezieniem busoli były jedynymi drogowskazami na ziemi i morzu. Jednakże Pliniusz naliczył zaledwie tysiąc sześćset gołym okiem widzialnych, gdy tymczasem Argelander podnosi tę cyfrę do 3,256, Heis zaś o dwa tysiące wyżej. Dodać trzeba, że starożytni, skutkiem niższej szerokości geo-

graficznej, mieli przed oczyma obszerniejszą sferę niebieską. Ptolemeusz znał pięć mgławic czyli mas gwiazdowych; Argelander dojrzał ich dziesięć gołym okiem. Innymi dowodami, których tu szczegółowo przytaczać nie możemy, wykazał Litrow, że starożytni opisali firmament bardzo niedokładnie, jak gdyby mieli krótki wzrok lub jak gdyby wrażliwość ocznej siatkówki ludzkiej udoskonaliła się, czemu wszakże inne fakta przeczą. Natomiast nie można dość napodziwiać pewności ich artystycznego spojrzenia w obrazach ciał ludzkich, jakie po nich zostały. Chociaż źle policzyli plejady, ale za to nikt od nich lepiej nie oddał falistych linii kobiecej piękności. Walczący gladiator również każdym muskulem świadczy o tak dokładnej obserwacji, jak gdyby tajemnice anatomiczne w starożytnych szkołach rzeźbiarstwa znane były. Wyższość tego rzeźbiarstwa w przedstawianiu ludzkiego ciała tłumaczono zwykle tem, że ciągły widok nagości i swobodnych ruchów w gimnazyjach i zabawach publicznych dawał klasycznym artystom przewagę nad naszymi, zmuszonymi zwracać się do modeli pospolitych. Względem kobiecego ciała jednak starożytni nie znajdowali się w przyjaźniejszym od nas położeniu, a przecież i tu osiągnęli doskonałość. Nasi malarze posiadają równą sposobność studiowania żywych koni, jak dawniejsi badania atletów, mimo to w czasach Franciszka Krügera on jeden tylko umiał podobno malować końskie piersi. W ocenianiu form artystycznych wzrok klasycznego świata dowiódł zadziwiającej bystrości, w ocenianiu naukowej wartości zjawisk ukształtowanie ciągle go zawodziło. Starożytnym zupełnie była obcą umiejętność eksperymentowania, w której metodyczna obserwacja w zmienionych dowolnie warunkach łączy się z wyrozumowaną krytyką i pomysłową wyobraźnią, która nie tylko przekonać może o pewności doświadczalnej wiedzy, lecz często pomódz do wytworzenia nowych objawów.

Bez naukowej obserwacji, bez doświadczeń, bez teorii, nie może się dokonać żaden trwały postęp w przemyśle. Postęp ten wymaga wyrozumowanego użytkowania przyrodzonych sił, badanych w prawidłowych skutkach. Postępowanie takie było starożytnym nieznanym. Rozwinęli oni rzeczywiście pewne gałęzie przemysłu, lecz ażeby je ocenić, trzeba porównać z rozwojem innych na-

sali koncertowej należy do wysiłków dotąd jeszcze nieprocentujących. Takim właśnie był ostatni koncert Towarzystwa pod nową dyrekcją p. Zelenkiego z współudziałem p. Jaëlla i pani Dowiakowskiej. Wprawdzie p. Jaëll należy do fortepianistów starej dasy, ale w grze jego są tak piękne szczegóły, o jakich dzisiejsi fortepianiści pojęcia nie mają: sprowadzać go więc z Paryża potrzeby nie było, ale kiedy już przyjechał, usłyszeć warto. Godną słyszenia była uwertura Cherubinięgo, wykonana zupełnie skończenię, i symfonia Schumannna, choć w niej pan Zelenki nie rozwinął tyle pięknych szczegółów, jak przy prowadzeniu orkiestry w uwerturze. W każdym razie p. Ż. wprowadził do dyrygowania nowy żywioł, pochodzący z ognistego jego temperamentu i na wskroś artystycznej natury. Z chwilą więc, kiedy opanuje swoimi przymiotami i używać ich będzie z całą samowiedzą, zajmie wyraźnie bardzo stanowisko dyrektora orkiestry, obok swoich rutynicznych kolegów.

Na pułki księgarskie przybyło kilka nowych tomów: *Encyklopedyi rolniczej* Tomu V zeszyt 3, początek uzupełnienia polskiego przekładu *Historji Stanów Zjednoczonych* E. Laboulaya przez M. Dubieckiego i dokończenie *Dzięł* K. Szajnochy. O publikacjach tych pomówimy kiedyś obszerniej,

gdyż następczą one sposobność do bardzo wielu uwag i ciekawych spostrzeżeń.

Ostatni zeszyt *Ateneum*, w którym się mieścić oba odczyty Spasowicza o Wincentym Polu, rozstrzyga wywołane przez lekkomyślność krytyki nieporozumienie między prelegentem a publicznością, gdyż okazuje jego wywody i twierdzenia w brzmieniu dosłownem, nieprzekręconem, niesfalszowanem. Poznawszy te odczyty, ci, którzy nie mieli możności ich słyszeć, pytają zdziwieni, gdzie tu poniewieranie przeszłością, gdzie potępienie poety, którego krzywdą dziennikarskie wrzaski nas zaalarmowały? Wszakże prelegent mówi wyraźnie o Polu: „Był to mistrz wielkiej ręki, talent oryginalny, silny... Przedewszystkiem liryczny, Pol wywierał i wywierać będzie czar niezmierny, że nikt nie oddał z większą mocą podniosłego pragnienia czegoś wyższego nad poziomą rzeczywistość, wśród której zeszedł cały jego żywot, rwania się ku czemuś idealnie doskonalszemu”. A że pochwały te przetkane są zarzutami, czyż to upoważnia do rozdzierania szat? Całe „poniewieranie przeszłością” zamyka się w tych słowach Spasowicza: „Piękne były historyczne tradycje, ale tylko jednej kasty, zaskorupione w formie arystokratycznej”. Czy można było powiedzieć mniej przeciw tym tradycjom lub

więcej za nimi? Przypuszczamy, że naszym krytykom musi być teraz *sehr dumm in dem Muthe*, gdy przypatrują się swoim bąkom, jakie o prelekcjach Spasowicza puścili.

W szeregu prelekcji na rzecz Osad Rolnych, Dr. Rostafiński, docent Wszechnicy Jagiellońskiej, mówił w dniu 6 Kwietnia „O nocy Święto-Jańskiej i kwiecie paproci”, ze stanowiska botaniki i etnografii. W kilku słowach streściwszy podanie ludowe o błyszczącym kwiecie paproci, Dr. Rostafiński przeszedł do opisu budowy kwiatu wogóle i sposobów rozmnażania się roślin kwitnących. Ponieważ do końca zeszłego stulecia sposób rozmnażania się paproci nie był znany, nikt zaś kwiatu, ani też owocu, tej cudownymi własnościami obdarzonej rośliny nie widział, podanie więc ludowe nie traciło swojej poetyczności, wykwitłej z łona botanicznej tajemnicy. Dziś, kiedy poznano około 2,500 gatunków tej rośliny, rosnącej zarówno w strefach gorących jak i zimnych, tajemnica rozmnażania się paproci sposobem innym niż u roślin kwiatowych przestała podtrzymywać poetyczność podania o kwiecie paproci i zamieniła się w sprzeczność z nauką. Kwestyę iskrzenia się kwiatu, która tak ważną rolę odgrywa w podaniu ludowym, Dr. Rostafiński objaśnił podobnie zjawiskami u innych kwiatów, które

rodów. Przekonamy się wtedy, że ich umiętność w tym kierunku należała do zawsze do niższych stanów cywilizacji. Tak np. sztukę budowania posunęli bardzo daleko Egipcianie, Assyryjczycy, Indyanie, a nawet Peruwianie w czasach Inkasów.

Trzy odkrycia: busoli, prochu i druku są nieporównanie wyższym stopniem w postępie przemysłu. Jeszcze wyższym, a przez nowożytną Europę dopiero osiągnięty, jest wynalazek maszyn, ciepłem ogrzewanych. Do tego stopnia Grecy i Rzymianie się nie wzniesli, poprzednie zawdzięczają ludom azyatyckim, w porównaniu z nimi barbarzyńskim. Rzecz prawie można, że ich cywilizacja jedną jeszcze stopą stała w okresie brązowym. Prace przemysłowe powierzano zwykle niewolnikom. Czyż to nie jest poniekąd wskazówką, że wolni obywatele nie czuli w sobie do tych zajęć zdolności? Zdziwiająca jest sprzeczność między estetyczną wartością i praktyczną niedoskonałością dzieł starożytnych. Przypatrzmy się świecznikom, odnalezionym w rzymskich willach, zasypanych popiołami Wezuwiuszu. Na delikatnym rozgałęzieniu, którego listki drżą od wiatru, kołyszą się na łańcuszkach zawieszonych liczne lampy ciekawego obrobienia. Przy tych lampach Cezar opowiadał swoje wyprawy, Cycero wygłaszał swoje okresy, a Horacy rzeźbił ody. Każda z nich jest prosto rezerwoarem napełnionym oliwą, w którym tkwi knot; jest jedną z tych kopających lampek, przy których dziś żadna pomywaczka pracowaćby nie chciała. Zbadać przyczynę światła lampy, odnaleźć ją w paleniu się mięszaniny bogatej w materię węglową, otrzymać takie palenie się, regulując napływ powietrza i oliwy, zabezpieczyć płomień od wiatru, otaczając zaś przedmioty od dymu i nieprzyjemnych wyziewów — wszystko to przez długi ciąg wieków nie przyszło na myśl fabrykantów lamp w Grecyi.

Starożytna cywilizacja podobna jest do jednego z tych greckich medalów, na którym artysta wyrzył piękną postać boga, lecz którego nie umiał zaokrąglić. Mamy też prawo cywilizację tę uważać jako estetyczną, a stosunek starożytnych do natury określić, jako *spekulatywno-estetyczny*.

Niższość starożytnych w badaniu natury była dla ludzkości zgubną. Nie dotknęłoby ją największe z nieszczęść, napad barba-

ryzyców na śródziemne pomorze, gdyby znajomość natury była taką, jak za dni naszych. Na szczegól ten nie zwrócono dotąd należytej uwagi. Kiedy Montesquieu i Gibbon wyjaśniali upadek cesarstwa Rzymskiego, przyrodnicza wiedza nie miała tego co dziś znaczenia; a nawet dotychczas większość historyków nie odczuwa jej wartości. Liczne przyczyny, które złożyły się na zburzenie Cesarstwa Rzymskiego i wydały je na łup barbarzyńcom, były często przedmiotem głębokich i zdolnych poszukiwań. Niewątpliwie świat antyczny był dotknięty bardzo ciężkimi chorobami. Niewolnictwo, pretoryanizm, zepsucie obyczajów, wstręt do małżeństwa, upadek obywatelskiego i żołnierskiego ducha, swawola wyrafinowanej cywilizacji, która wyczerpała wszystkie rozkosze, zbezczeszczyła ideały i nie mogła znaleźć w sobie siły do wzniesienia się ponad własny swój poziom — oto są powszechnie znane wewnętrzne przyczyny, które zwały świat rzymski. A jednakże osiągnięte powodzenia, ile razy na tronie Cezarów zasiadł człowiek energiczny, przekonywają, że położenie nie było całkiem rozpaczliwe. Aż do ostatnich czasów można było utrzymać w Cesarstwie pewien porządek; legiony dowodziły na polu bitew, że nie zapomniały całkiem dawnej odwagi i karności; rozszerzenie się chrześcijaństwa wreszcie nie rozprężyło starożytnego świata tak dalece, jak wielu mniema; bo chociaż pewną część klasycznej cywilizacji „wyrwano jak złe ziele”, główne jej pierwiastki pozostały nietknięte. Świątynie, teatry, łaźnie, trybuny, istniały dalej, nieraz pod ochroną zwycięzkiego krzyża; również wściekłości niszczycieli uniknęła olbrzymia ilość dzieł sztuki i umysłowych skarbów, nagromadzonych przez dziesięć wieków w papyrusowych zwojach. Długo można było położyć tamę falom barbarzyństwa, płynącego z północo-wschodu, wciągnąć surowe masy w koło cywilizacji i jej istnienie uratować. Według Liebiga, który cywilizację tę badał ze stanowiska nauk przyrodniczych, jej upadek był nieuniknionym, skutkiem wyczerpania się z italskiego gruntu składników fosforowych i potasowych, potrzebnych dla zboża. Conrad obalił to twierdzenie, wykazując, że wyczerpanie się ziemi nie zostało dowiedzionem. Wszędzie, gdzie Liebigs przypuszcza jej zubożenie przez nadużycie w uprawie, przyjęć można inne przyczyny zmniejszenia się pło-

ności, jak: susza spowodowana zniszczeniem robót irygacyjnych i t. p.

Nie dla tego więc starożytna cywilizacja upadła, że jej grunt wyczerpał się z materij fosforowych i potasowych, lecz dla tego, że opierała się na estetyce i spekulacji, to jest na ruchomym piasku, który fale barbarzyńców łatwo roznieśli.

KRESY DZIEJOWE.

SZKIC

A. G. BEMA.

VIII.

Dwie jeszcze pierwszorzędne uchwały sejmowi zasługują na to, by o nich z pewnym naciskiem wspomnieć: projekt „zbioru praw sądowych” oba narody obowiązujących, i zniesienie tortur oraz procesów gardłowych o czary.

Mnogość postanowień, jakie w ciągu stuleci — pod nazwą dyplomatów, statutów i konstytucji — wydano, nie mogła być naturalnie rękojmnią ich praktycznego znaczenia. Oprócz pojedynczo-publikowanych istniały zbiorowe księgi praw: Łaskiego, Przyłuskiego, Herburta, Sarnickiego, Januszowskiego, Szczerbica, Petrykowskiego i innych; miała też Litwa ułożony ostatecznie przez Lwa Sapiechę Statut z r. 1588; pod Sasami wreszcie Załuski i Konarski ogłosili *Volume legum*, pomnikowe wydawnictwo, które w pierwszym tomie zawierało wszystkie statuty (tj. prawa do połowy XVI stulecia), a w pięciu następnych konstytucje aż do 1736 r. Od owej chwili ciągnęły się przez lat 28 długie prawodawcze a złowróżbne dla starej Polski wakacje. Ze śmiercią Augusta III zaczęto, jak wiemy, na serio myśleć o naprawie: niedość już było nowe zatwierdzać konstytucje, pomnażać zbiór woluminów, lecz należało, usunawszy starą pleśń, oraz napotykaną w stosie praw obowiązujących sprzeczności, utworzyć kodeks zastosowany do ducha czasu i narodu. Zamiar ten niejednokrotnie ponawiano; ale i sejm i delegacje, w skład których wchodziło zwykle kilka lub kilkanaście osób, nigdy na czyn stanowczy zdobyć się nie mogły. Przyszedł na koniec rok 1776. Szlachta po barskiej zawierusze i pierwszym podziale

w czasie ciepłych nocy wydają fosforyczne blaski z wnętrza swego kielicha, jak to zauważyła już córka Lineusza. Ponieważ zjawisko to ściśle się łączy z długością dnia najwyższą na S-ty Jan, kiedy słońce najsilniej i najdłużej ożywcym swoim blaskiem krzepi naturę całą, prelegent ztąd zatem wysnuł wnioski o powstaniu podania ludowego, obejmującego część dla słońca i nigdy niedostrzeżonego kwiatu, który w tym dniu, nie mogąc się oprzeć działaniu słońca, wyłonić się musi z paproci.

Chrześcijaństwo wiele uroczystości i podań z życia Słowian wyrugował lub zmodyfikował, inne pozostawił w niezmiennionej formie, która wytrwale się broni przed działaniem czasu, wprowadzającego nowe zwycaje, i przed naciskiem nauki, obalającej chwiejne podpórki fantastycznego gmachu. „Tym sposobem, prowadzeni zręcznie i umiejętnie przez uczonego prelegenta, bez ubliżenia tegoczesnej nauce i bez pomiatania odgłosów przedwiecznych mniemań przodków, rozradowani i wdzięczni słuchacze prof. Rostafińskiego znaleźli, o ile to w mocy ludzkiej, najdroższy dla człowieka kwiat paproci — prawdę”. Tak zakończyła nazajutrz po prelekcji staruszka *Warszawska* swoje opowiadanie, z którego czuć było, że nie dowierza prelegentowi, bo jej się wyrwała uwaga, że „chwilowe kwitnienie i światło paproci nie są

nadzwyczajnością”. Tym sposobem słuchacze znaleźli — prawdę, a *staruszka* — kwiat paproci i możność zmanifestowania swoich przedwiecznych mniemań.

— Odczyt o *Konwencji Genewskiej* profesor Bialecki rozpoczął porównaniem działania tej instytucji do jasných promieni słońca, które w chwili ustania rozszalałej burzy przedzierają się przez gęste jeszcze chmury i przynoszą napowrót życie tam, gdzie przedtem panowało tylko zniszczenie. Wiek XIX nie mogąc usunąć wojny, stara się przynajmniej zmniejszyć jej okrucieństwo. Opis bitwy i jej skutków pod Solferino przyczynił się w znacznej części do przyjęcia praw zawartych w Konwencji, której potrzeba od dawna już czuć się dawała. W roku 1864 przedstawiciele mocarstw po raz pierwszy zjechali się do Genewy, gdzie położono pierwsze podstawy dla instytucji Czerwonego Krzyża. Od tego czasu wiele rzeczy uległo zmianom dla swojej niepraktyczności, wiele wprowadzono nowych i wiele jeszcze pozostało do wprowadzenia. W każdym razie w historii prowadzenia wojen, Konwencya Genewska zajmuje wysoce ludzkie znaczenie, znamionujące ogromny postęp, na który prof. Bialecki zwrócił uwagę słuchaczy z całą drobiazgowością i naciskiem.

Z obfitym szeregiem koncertów współzawodniczy jak może obfity szereg publicznych odczytów. Po skończeniu się prelekcji na dochód Osad Rolnych, mają nastąpić inne, również z filantropijnym charakterem. Niewprawionym, albo raczej częściowo tylko wprawionym w miłosierne ramy będzie tylko odczyt p. Józefa Kotarbińskiego o *Królu Learze* Shakespear'a, który ma być przygotowaniem do głębszego zrozumienia tej tragedii na scenie. P. K. jako szczególny miłośnik i znawca Shakespear'a może jego dzieło bardzo gruntownie zanalizować.

O trzech odczytach hrabiego Tarnowskiego pomówimy w przyszłym dopiero tygodniu. Tymczasem uważamy sobie za obowiązek zaznaczyć różnicę poglądów naszej krytyki w tym przedmiocie, mianowicie według *Echa* „schodzącego z katedry prelegenta pożegnał grzmot oklasków” a według *Wieku* „schodzącego z katedry prelegenta gonili gromy oklasków”. Kto tu ma rację, rozstrzygnąć nie poważamy się, gdyż wobec takiej sprawy jesteśmy „za słabi, za mali”.

nie zdołała jeszcze należycie zastanowić się nad sobą; Poniatowski natomiast, zyskawszy większą nieco siłę a otuchę, począł wyznosić samodzielnie na światło dzienne owe reformatorskie pomysły, które (jak sam w skróconym po francuzku portrecie własnym powiada) stały się oddawna tłem wszystkich jego projektów i głównym wątkiem życia ¹⁾.

Pod koniec 13-go posiedzenia (w dniu 11 września), gdy rozprawiano gorączkowo o demarkacji Rzeczypospolitej z Austryą, król przemawia za namysłem w danej kwestyi, a następnie, wspomniawszy zniechęca „zawady pochodzące z awikłań prawnych”, oraz próżne dotychczasowe pokuszenia reformy, wnosi projekt zbioru ustaw sądowych i doradza, aby to ważne dzieło powierzono ex-kanclerzowi Zamojskiemu. Kodeks miał się zawrzeć w rozmiarze jednotomowej książki, której potwierdzenie zależało od sejmu. Wybór padł bardzo szczęśliwie. Andrzej Zamojski, szanowany wielce przez króla, czczony przez naród, słynął już dawno ze swej obywatelskiej cnoty i mądrości — jako marszałek trybunału, a następnie piastun wielkiej pieczęci koronnej, którą złożył dobrowolnie w 1767 r. Ostatnia okoliczność nadała mu powagę bohatera. To też łatwo się domyślić, że odpowiedzią na wniosek monarszy był jednogłówny, twierdzący okrzyk izby sejmowej. Król rozpyliwał się w dziękczynieniach, nie przewidując pewno, że za lat cztery (1780 r.) ułożony pod kierownictwem męża bez skazy, przy pomocy światłych współpracowników — kodeks zostanie uroczysto potępiony, i przez jakiegoś tam Sokolnickiego *posta* gnieźnieńskiego, ku większej hańbie narodu — nogami zdeptywany ²⁾. Zatwierdzona jednak na sejmie naszym konstytucya p. n. *Zbiór praw sądowych*, dowodzi dwóch rzeczy: 1) powszechnego uznania koniecznej potrzeby kodeksu; 2) popularności ex-kanclerza, któremu dozwolono wybrać sobie odpowiednich pomocników, i nieprzywiązując się do żadnej szczególnej ustawy, z całego stosu praw „succum rei”, t. j. treść zbawczą wyciągnąć.

W podobny sposób, choć z lepszym o wiele dla narodu skutkiem, rozstrzygnięta została kwestya tortur i procesów o czary. Pozostałość średniowiecznego barbarzyństwa, przeciw której około 1700 r. energicznie występował Thomasius, słynny profesor z Halli, a dawniej nieco (w sprawie mianowicie czarów) dwaj holenderscy uczeni Van-Dalle i Bekker, przetrwała w niektórych państwach europejskich aż do schyłku 18-go wieku. Szczegółowy, choć nie wyczerpujący obraz tortur, jakie się u nas w przeznaczonych na to piwnicach ratuszowych praktykowały, znaleźć może czytelnik w drugim tomie *Opisu zwyczajów i obyczajów* Jędrzeja Kitowicza. O ile zaś około 1770 r. mityczna figura dyabła wywierała wpływ na sądy polskie, dowodzą między innymi wymownie *Pamiętniki B. Michałowskiego*. W Żytomierzu spalono podówczas starą kobietę, mieszczankę z pochodzenia, która (o zgrozo!) sama się do związku z szatanem w ostatniej nawet chwili życia przyznawała. Szambelanowistarosie (Michałowskiemu), gdy na to patrzy, włosy na głowie powstają; gorsząc się więc *zatwardziałością* obłąkanej, przyznaje, że prawo spełnia tu swe powołanie, że sąd grodzki nie może sobie inaczej postąpić.... Bądź co bądź, w porzuceniu tych szmat średniowiecznej ciemnoty, dzięki Stanisławo-

¹⁾ „Né avec une vaste et ardente ambition, les idées de reforme et d'utilité pour ma patrie sont devenues comme le canevas de tous mes projets et de toute ma vie”.

²⁾ W r. 1780 odzywały się nawet podobno głosy, aby nową księgę praw, jako uwłaczającą przywilejom szlachty (na korzyść mieszczan i chłopów) publicznie na stosie spalić. Wiadomość tę powtarzamy za Kraszewskim.

wi Augustowi, nie bardzo daliśmy się innym narodom wyprzedzić. Projekt podobnie jak i pierwszy, mimochodem wniesiony, jednogłównie w izbie sejmowej został przyjęty. Towarzyszyła mu zaś następująca okoliczność. Dnia 22 października (na 43 sesyi) gdy zastanawiano się chaotycznie nad różnymi sprawami, biskup wileński wznowił pomysł „komisyi książąt Radziwiłłów”, przez którą Karol „panie kochanku”, marszałek radomski, a potem rycerz z Baru, dotąd wygnaniec, miał do dawnej godności i majątku swego powrócić. Z tego powodu zabrał głos znany nam już, zapalczywy bojownik arystokracji, hetman Rzewuski.... Zdawało się widać wówczas mówcy, że jest sędzią najwyższym, król zaś na ławie podsądnych siedzi; bo trudno sobie wyobrazić gorętszą i dotkliwszą dla monarchy filipikę, a zarazem bardziej wonne kadzidło, spalone na ołtarzu popularnego wojewody wileńskiego, owej biednej pod względem umysłowym, butnej i szczodrej, wiecznie pijanej, a naiwnie klamiącej maszyny ¹⁾. Stanisław August odrzekł na to, jak przystało władcy, który w danej chwili poczuwa swą godność i siłę. Hetman, pod groźbą sądu sejmowego i zawieszenia sprawy Radziwiłłowskiej, był zmuszony przeprosić niebawem króla. Nim to jednak nastąpiło, monarcha, rzuciwszy piorunową strzałę, robi nagły w swej mowie przeskok od rzeczy prywatnych do społecznych: podnosi projekt zniesienia tortur, a jednocześnie Wojciech Kluszewski kasztelan biecki żąda, aby uniemożliwiono „karę śmierci *in causis maleficii* i czarów”. Godna poklasku jednomyślność zamieniła wkrótce oba pomysły w konstytucję p. n. *Konwikcyjne w sprawach kryminalnych*; ustawa ta zaś nie tylko Koronę, ale i W. Ks. Litewskie obowiązywać miała.

Nie będę opisywać wielu innych spraw wiekowych; bo pora mi już dobieć do brzegu. Wymienię jednakże niektóre. Księstwo Kurlandzkie i Semigalskie uzyskało na naszym sejmie potwierdzenie dawnych przywilejów, i ratyfikację aktu (*Actum Compositionis*) z dnia 8 sierpnia 1776 r.; *Zakon Maltański w Polsce*, którego przeorem był książę Adam herbu Łodzia (przyszły pan „Tout-court”), a podskarbisem Tepper, miał sobie zabezpieczony na dobrach Ostrogskich roczny haracz w kwocie 120 tys. złp.; zgodzono się też, w duchu zawartego dawniej traktatu, na polsko-austriacką komisję, powołaną do rozstrzygnięcia sporów majątkowych między obywatelami Galicyi, Lodomerji, kstwą Zatorskiego i Oświęcimskiego — z jednej, a mieszkańcami Rzplitej z drugiej strony; zapewniono wreszcie dla Franciszki z Krasieńskich, małżonki księcia Karola — dożywocie (44,666 zł. i gr. 20), wyrównyujące połowie płacy, jaką mąż ze skarbu Rzeczypospolitej wówczas pobierał. Z pomiędzy ustaw, odnoszących się bardziej do wewnętrznej sprawy, to chyba tylko wspomnę, że podskarbisem nadwornym obojga narodów — od 1-go września 1776 r. nie król jak dotąd, lecz państwo pensyę wypłacało; oraz że trzy województwa — Poznańskie, Kaliskie i Gnieźnieńskie, które od lat ośmiu przestały, z woli sejmu, wspólnie w miasteczku Środzie obradować, ze schyłkiem 1776 r., na wniosek posła Małachowskiego — znów tworzą jedno polityczne ciało i na dawną wstępują koleją.

Ostatnie dwa dni obrad sejmowych — 25 i 26 października — odznaczały się bardzo burz-

liwym temperamentem. Epigonowie Gedymina — z Koroną, czyli cała partya Tyzenhauzowska ze swymi przeciwnikami w gorące weszli zapasy. Głównią niezgodę były popierane przeważnie przez posłów nadnieńskich żądania: aby pomnożono w księstwie liczbę senatorów, przeniesiono asesoryę do Grodna, ustanowiono dwa nowe starostwa na Żmudzi — a wszystko to usprawiedliwiał się względami wygody prowincjonalnej i warunkami starej unii. Skutki turnieju dwu nierównych połów jednej całości okazały się niebawem na poobiedniej 51-ej sesyi, którą zagał marszałek k. k. w d. 26 października, a przerwał dopiero nazajutrz sam Poniatowski o godzinie 8^{1/2} rano. Projektów koronnych i litewskich przyjęto około 70, a odrzucono więcej niż sto. „Z tem wszystkim (powiada sekretarz Cieciszowski) w ustawnym hałasie ciężko częstokroć zgodnąć było wolę sejmujących ¹⁾”. Pod koniec zajmowano się wyłącznie sprawami pojedynczych województw: zaczęto od sandomierskiego, a skończono na dobrzyńskim. Reszta niezatwierdzonych pomysłów, a między wielu innemi „okazanie nagrody i wdzięczności” Żaluskim za ofiarowaną narodowi bibliotekę — odłożoną została do przyszłego sejmu.

Pozostaje mi teraz kilku ogólniejszemi myślami zamknąć swą pracę. Na sejmie 1776 r. nadano, jak wiemy, większą potęgę Radzie Nieustającej, a jednocześnie „polski wezyrat”, władzę hetmańską w należne karby ujęto. Była to niezbyt może stanowcza, ale bądź co bądź postępową próbą zogniskowania i wzmocnienia sprężyn państwowych. Rada jednak z magnatów i szlacheckiego gminu nie cieszyła się w swoim czasie popularnością. Stronni tylko członkowie i poplecznicy chwalili ją bezwzględnie, wybrane zaś umysły, dopatrując się niedoborów, uznawały konieczną potrzebę jej bytu. Staszic np., który nigdy swych poglądów nie przykrawał do ram płytkiej i chwiejnej opinii, tak się o tej magistraturze w 1787 r. odzywa: „pamiętajcie, że Rada Nieustająca (bez władzy praw łómaczenia), stróżem równości będąc, stanie się najmocniejszym wolności puklerzem; jeżeli każdy sejm dla bezpieczeństwa władzy prawodawczej — więcej sobie czasu do wglądania w jej sprawy pozwoli; jeżeli wyborem osób cnota i miłość ojczyzny zarządzi”. Dzisiejszy utalentowany a pracowity badacz epoki rządów Stanisława Augusta, W. Kalinka przyznaje, że Rada nosiła w sobie zarody porządku, że „pod wieloma względami była zbawieną reformą”. I rzeczywiście: wiekowa przeszłość Polski dowiodła potrzeby większej centralizacyi rządu, a kilkonastoletnie istnienie Rady wykazało, że była ona czemś w zasadzie dodatkiem; że kępowały ją tylko zewnętrzne warunki, a bardziej jeszcze — na co szczególnie nacisk kładziemy, bierność jej żywiołów, ślepotą w wybieraniu osób, do najwyższego ciała peryodycznie wchodzących.

Do ważnych oprócz tego rysów naszej prawodawczej biesiady należy przedewszystkiem konstytucya, która nadała popęd samodzielnemu rozwojowi komisji edukacyjnej; następnie — szczęśliwy projekt zbioru praw sądowych, zniesienie tortur i kilka innych ustaw, z natchnienia przeważnie królewskiego zapadłych. Swobodniejszy zresztą ruch myśli, ów dość wyraźny w każdym przemówieniu oświeceniowej garstki poselskiej, dowód wejścia w siebie, zbyt śmiało nawet potępianie bezwstydných czynów całej kliki Ponińskiego — są to, o ile prawdziwe, o tyle dla badacza danej chwili nadzwyczaj pocie-

¹⁾ Aby dać czytelnikowi słabe wyobrażenie tonu tej ognistej chryi, przytoczymy tylko zdań parę: „Po śmierci nieśmiertelnej pamięci (!) Augusta III rozdziwiła się zaraz Rzplita. Jedna strona miała moc i może nadto śmiałości, druga szczęścia mało. W tej drugiej stronie znajdował się kże woj. wileński”.... Nie zaniedbano przytem położyć szczególnego nacisku na długi szereg antenatów wojewody — czem król, jak wiadomo, popisać się nie mógł.

¹⁾ Nie trudno pieśń tę dośpiewać, wiedząc, że „deputowani do konstytucyi” zdawien dawna wyręczali po bratersku — niepojednane *in gremio* stany.

szające objawy. Król stoi na czele konfederacji: odgrywa on rolę samowładcy, a żywiąc zamysły rozwinięcia wewnętrznej nade wszystko potęgi państwa, stara się tymczasem utrzymać równowagę między najsprzeczniejszymi pierwiastkami. Postępowanie zkadnąd zarówno Stanisława Augusta, jak sejmującej gromadki, gdzie czyste dążenia krzyżują się z osobistym i kastowym samolubstwem, jest jakieś chwiejne, opieszale, słowem podobne do ruchu człowieka, który zaledwo z ciężkiej podniósł się choroby. Jeżeli cokolwiek w tym historycznym momencie niemiłe nas razi, to zapewne ta smutna refleksja, że owo przeszłoroczne robaństwo, na które z jawnym obrzydzeniem patrzą uczciwsze jednostki, nurtuje ciągle we wnętrzościach prawodawczego organizmu, a wielokrotnie zduszone, tu i owdzie na wierzch wypływa. Okoliczność ta jednakże nie odbiera jeszcze wagi sejmowi. Jest on w każdym razie niby jasnym drogowskazem, postawionym na granicy źle ubitego i krętego gościńca; niby wzgórzem pośredniej wielkości między dwoma nie na jednej linii wydatniejącymi punktami: 1764-ym a 1791-ym rokiem. Nazwalimy go we wstępie zwrotną, a nieprzynoszącą należytych owoców chwilą, dla tego: że ponieważ odslania on przed narodem drogę spokojnego rozwoju, to gdyby działalność polityczna króla bardziej była szczęśliwą i umiejętną; gdyby w latach następnych nie „sejmy wolne”, lecz na rozumniejszej podstawie oparte konfederacje prowadziły dalej (przez lepsze rozumie się czynniki) rzecz udatnie rozpoczętą, państwo nie rozpadłoby się może tak prędko, ani byłoby potrzeby uciekać się później do pruskiego przymierza.... Przeszkadzały jednak temu polityczne warunki, a bardziej wewnętrzny rozstrój społeczeństwa i brak wielkich ludzi u steru.

Pomimo to wiec nasz w dozwolonej mierze spełnił swe zadanie: ograniczył nadużycia „prywatników”, wzmościł rząd, zapalił światło, zgodne z zasobami narodu i duchem wieku, powstał przeciw zabobonom w procedurze karnej, pomyślał o księdze praw, naruszył kredyt monopolów, starał się wreszcie dać pochoj rozwojowi przemysłu i handlu¹⁾. Okres, który po nim nastąpił, jest jedyną dla Rzeczypospolitej, względnie szczęśliwą godziną w historii ostatnich rządów. Największą jego chwałą — zaszczerpienie na gruncie polskim świeższych zachodnich myśli, szczególna troskliwość o wychowanie młodych pokoleń; przerywana wreszcie rozlicznymi wypadkami, a chybiona niestety opieka nad organizacją pracy społecznej.

Na tem kończymy rozbiór niesłusznie zaniebawanego przez historyków sejmów, a zarazem pierwszy szkic o „kresach dziejowych” w Polsce, które są ponętną dla młujących prawdę, a tak nieprzebraną kopalnią, że setki rozpraw jej nie wyczerpią.

KONIEC.

DANAOWIE POSTĘPU.

W kolumnach pisma naszego znalazł czytelnik niejednokrotnie skargi na szkodliwość rozmaitych fanatycznych działań, wprowadzających do łona narodów namiętną i niszczącą walkę. Rzeczywiście zaprzeczyc trudno, że działania te wyrządziły cywilizacji naszej szereg szkód dotkliwych. Dość w tym względzie obrachować tylko straty Niemiec.

¹⁾ Dowodem tego — niepozbawione zdrowej tendencji, choć bezsilne, „prawo oszczędnicze”, oraz konstytucja p. n. Skład wszelkich towarów. Ostatnia uchwała dozwala zarówno szlachcie, jak i mieszczaństwu, zarówno krajowcom, jak i zagranicznym — uformować „kompanie handlowe”, któreby nad spławami rzekami, w dobrach królewskich zakładać mogły odpowiednie magazyny, a tem samem przyczynić się do pomnożenia bogactwa narodowego.

Starcie kościoła z państwem rozdarło kraj na wrogie sobie partie, sparaliżowało wszelką pracę, wymagającą szerszego zjednoczenia sił, a co najważniejsza, zbestwiło obie strony moralnie i umysłowo. Jeżeli zapamiętamy, że od rad gminnych aż do sejmów wszędzie religijne sympatyje lub antypatyje wywierają dziś bezpośredni wpływ na grupowanie się jednostek, że te religijne sprężyny wytwarzają w jednej stronie zapamiętałość oporu, a w drugiej zapamiętałość napadu, że zarówno zwolennicy autonomii kościoła jak i zwolennicy autonomii państwa, roznamiętniwszy się w walce przekroczyli granice słuszności — jeżeli wszystko to zapamiętamy, ujemne skutki owego pasowania się żywiołów wystąpią nam przed oczy bardzo wyraźnie. Ale nasuwa się pytanie, czy obok szkód, jakie podsycony obecnie fanatyzm cywilizacji wyrządza, nie wyświadcza on jej mimo woli i wiedzy bardzo ważnych usług? Innemi słowy, czy syllabusy i tym podobne do wstecznego ruchu nawołujące hasła nie dodają siły dążeniom postępowym? Chyba wątpić o tem trudno. Przypatrzmy się najprzód stosunkom, z obecnymi wielce spokrewnionym. Przyznać trzeba, że postępowanie papieżstwa w czasach reformacji zaszkodziło wielu interesom cywilizowanego świata. Handel przywilejami religijnymi, który ściągął do Rzymu z całej Europy tak nieprzeliczone tłumy, że pod ich ciężarem most Tybru się załamywał, który z pomocą najbezwstydniejszych środków wypróżniał ubogie i bogate kieszenie, który był niczem nieosłoniętą prostytucją religii, handel ten — mówimy — pozostawił ślady strasznej umysłowej i materialnej ruiny. Ale jednocześnie, gdyby nie te wszystkie nadużycia, czy reformatorowie mieliby dość siły do wprowadzenia swej nauki i dokonania cywilizacyjnego przewrotu? Bynajmniej. Lutra i jego współpracowników zrodzili papież, którzy sprzedawali odpusty, i gardzili moralnością. W czynach tych Neronów i Tiberiuszów religii apostołowie protestantyzmu poczerpnęli swoją moc, swoją odwagę i swoje tryumfy. Podobnie rzecz się ma, tylko w znacznym złagodzeniu i zmienionych warunkach, dzisiaj. Instytucja papieżstwa jest obecnie szlachetniejszą niż za czasów reformacji moralnie, swobodniejszą umysłowo, słabszą politycznie, stanęła jednak również w sprzeczności z kierunkiem naszej cywilizacji, w której wywołuje proporcjonalny do swego nacisku odpór. Kto obliczyło zdoła, ile kroków postępu było bezpośrednim skutkiem tego odporu! Z widoczniejszych wszakże należą tu tak ważne objawy, jak nagły rozrost starokatolicyzmu, upadek świeckiej władzy papieżstwa, wyzwanie się wielu państw z pod zależności od niego, liczne piśmiennicze protesty w literaturze europejskiej zrodzone, w końcu równoległa z szerzeniem się fanatyzmu emancypacja umysłowa narodów. Emancypacja zaś ta odbywa się nietylko w katolickim świecie. Przekona nas o tem bliższy rozbiór samego faktu.

Zadnym chyba ze swych głośnych zamachów na rozum ludzki nie zbudził Pius IX większego oporu, jak ogłoszeniem papieskiej nieomyślności. Dopóki wprowadzone przezeń dogmata szły na korzyść nieba, póty ludzkość podawała im się bez wielkiego przymusu; ale gdy zwróciły się do ziemi, gdy po Niepokalanem Poczęciu nastąpiła nieomyślność duchownego zwierzchnika, cierności zbrakło. Po za ścianami uchwalającego ten anachronizm soboru rozległ się krzyk skargi na gwałcenie dusz ludzkich, które tak niedorzecznemu i krzywdzącemu prawu poddać się nie mogły. Mimo całego skrzywienia się religii pod papieską dłoń, mimo wszelkich zakazów, wzbraniających zbliżania się do pierwotnego źródła chrystianizmu, Nowy Testament pozostał aż

dotąd dla katolickich narodów probierzem w ocenianiu słuszności kościelnych rozporządzeń. Ten wieczny postrach dla kościelnej samowoli, ten nieustający sąd nad jej czynami był zawsze podstawą wszelkiego od stolicy apostolskiej odszczepieństwa i jest nią dzisiaj. Jak dawniej kontrolowano nim sakramenta, tak teraz sprawdzono nieomyślność. I naturalnie przekonano się, że Chrystus takiego przywileju następcom swego apostoła wcale nie zapewnił. To zboczenie od kodeksu wiary było dla jej światlejszych wyznawców głównym motywem odrzucenia fałszywego dogmatu. Odpowiednie rozumowanie wysnuło się tu bardzo prosto. Nauka Chrystusa staje się coraz bardziej elastyczną skórą, którą papieżstwo naciąga na coraz nowe kopyta. W pierwszych wiekach naszej ery Nowy Testament był podręcznikiem religijnej wiedzy, był źródłem, z którego każdy obowiązany był czerpać swą wiarę. Dziś kościół od tego źródła odpędza ludy, zachowując sobie monopol korzystania z niego. Czyni to zaś — jak powiada — z obawy, ażeby świętej księgi źle nie tłómaczono. Tymczasem lęka on się właściwie, ażeby jej nie zrozumiano dobrze. Lęka się, ażeby porównanie nauki kościoła z nauką Chrystusa nie wykryło nadużycie pierwszej i sfalszowania ostatniej. Jezus wykladał swoje zasady prostaczkom i ludziom o tysiąc kilkaset lat umysłowo od nas młodszym, jeżeli więc przez takich słuchaczy i taki czas był należycie pojętym, to tem bardziej pojętym być może dzisiaj. Odstrażanie więc od Biblii jest tylko środkiem, zabezpieczającym od wykrycia, że jej powaga nie jest w kościele szanowaną. Gdyby szanowaną była, nie ośmielono by się uznać człowieka nieomylnym i niejako wynieść go po nad zasadnicze prawodawstwo religii.

Tak argumentuje społeczny nam starokatolicyzm, tak argumentują ludzie, którzy tylko do pewnego kresu na pasku „tajemniccy” doprowadzić się dadzą. Ich rozum, chociaż do przeróżnego rodzaju tajemnic bardzo przyzwyczajony, protestuje czasem przeciwko zbyt widocznym nadużyciom cudowności. Taką zaś cudownością jest bezzaprzeczenia papieska nieomyślność. Trzeba specjalnie i w długich operacjach przygotowanego mózgu, któryby widział zupełnie naturalne zjawisko w tem, że jakiś ułomny człowiek, który dziś mógł sto razy na dzień błędzić, nagle, włożywszy papieską tyarę, staje się jak bóg nieomylnym. Mimo licznych komunikacji, zaprowadzonych między niebem a ziemią, trudno najnaiwniejszemu umysłowi uwierzyć, że każdą myśl do papieskiej głowy przynosi nieustannie z nieba zlatający duch święty.

Jeżeli religijny członek kościoła dotąd tylko w swej krytyce papizmu idzie, to znowu niereligijny członek państwa jeszcze dalej się posuwa. W podobnych dogmatach, jak nieomyślność papieska, widzi on jedynie doprowadzenie błędnej zasady *ad absurdum*. Dla niego ogłaszanie owych bezpośrednich stosunków z duchem świętym jest krokiem zupełnie zgodnym z naturą instytucji i ostatecznie przekonywającym o jej blizkim upadku. Występuje tu fakt powtarzający się wszędzie i zawsze, ile razy jakaś nauka, zamknawszy się w swoim pierwotnym założeniu, nie uwzględniała prawd, które z nią z łona czasu swoje światło rzucały. Analogii nie brak. Gdy filozofia doszła do przekonania, że umysł ludzki rzeczy samych w sobie poznać nie może, tylko zna swoje o nich pojęcia, gdy w dalszym rozwinięciu tego pewnika odmówiono bytu przedmiotom realnym a przypisano go tylko idealnym, znalazł się wreszcie mnich, który zgodnie z tą teorią zawniósł, że oprócz niego nikt i nic w przestrzeni nie istnieje. Podobny proces dokonał się i w dziedzinie religijnej. Z założenia, że głowa kościoła

jest nie tylko najwyższym sędzią ludzkiego sumienia, nietylko zastępcą Chrystusa, ale źródłem wszelkiej prawdy, musiał się koniecznym narodzić dogmat nieomyślności tej głowy. Dogmat ten, urągający wszystkim prawom rozumu, otwarcie świadczy, że cała nauka, której on jest częścią, ukoronowała absurdem swój żywot i z cywilizacją nigdy się nie połączy. Społeczeństwa nie potrzebują już z nią walczyć, bo przestała być groźną, nie potrzebują przeciw niej się ochraniać, bo przestała być szkodliwą; winny tylko pośmiertny jej inwentarz spisać i do nowych potrzeb użyć. Jeżeli zaś nauka ta znajdzie gdzieś jeszcze wyznawców i stanie na drodze społecznemu rozwojowi ludów, ludy te powinny ją obezwładnić, z reszty środków i wpływów rozbroić.

W ten lub inny sposób odpowiada na dogmat nieomyślności przedstawiciel świeckich interesów państwa, taki lub inny protest wywołują przykazania, obciążającym cywilizację naszą interdyktem objęte. Nie przyłączamy się w tej chwili do żadnego z tych głosów, gdyż nam tu bynajmniej nie idzie o czyszczenie religii, a nawet o wykazywanie złych lecz dobrych wpływów fanatyzmu. Powyższe wywody naszkicowaliśmy jedynie w charakterze przykładowej próby opozycji, jaką zamachy owego fanatyzmu wywołały. Sam fakt tej opozycji, bez względu na to, jak głęboko ona dotąd w życie cywilizowanego świata sięgnęła, jest dla umysłowego rozwoju wypadkiem niezmiernie pomyślnym. Ponieważ każdy z ogłoszonych ostatnimi dasy dogmatów nie był przykazaniem od życia oderwanym, tylko do szczupłego kółka wyznawców zacieśnionem, lecz zetknął się z różnorodnym pasmem spraw ludzkich i powołał do posłuszeństwa miliony, stał się więc przedmiotem rozległego namysłu, zbudził wielostronne wątpliwości i niechęci duchownych i świeckich, ukształconych i prostaczków, katolików i innowierców. Zasada tajemnicy, którą fanatyzm naszego czasu tak obficie się posługiwał, zakwestyonowana na jednym punkcie, stała się zaraz podejrzaną na innych; bo gdy jeden zuchwał dogmat ulegnie zaprzeczeniu, zaraz wątpliwość połączonych z nim niciach przebiegnie błyskawicą do dalszych. Suma tych przeczeń i wątpliń składa się nieraz na szybki postęp myśli, nadmiernem pogwałceniem jej praw wywołany. To też nie jest to rzeczą prostego przypadku, że na epokę najwsteczniejszych ruchów fanatyzmu przypadają w naszej epoce najśmielsze ruchy postępu. Z jednej strony występują sylabusy a z drugiej równolegle z nimi dzieła obalające całe rusztowanie wierzeń; z jednej — nieograniczone pretensje władzy kościoła, z drugiej — nieograniczone żądania władzy państwa.

Przy groźnym błysku papieskich gromów wyzwala się z pod nich jednostki i społeczeństwa. Podczas gdy Stolica Apostolska chce być tronem władzy wszechświata, usuwają z pod niej grunt świeckiego panowania, zobojetniają jej wpływy lub wypowiadają śmiertelną wojnę. Policzmy tylko wypadki, których pamięć nasza naprędce dosięże: upadek Państwa Kościelnego wraz ze zjednoczeniem Włoch, republikanizm we Francji i zupełne usamowolnienie się państwowe Niemiec — a przyznać musimy, że jest to szereg faktów wcale nieprzewidywanych rachubą klerykalnego dążenia. A cóż powiedzieć o szalonych skokach nauki w kierunku temu dążeniu przeciwnym! Wtedy gdy najwyższy kapłan wiary ogłosił swoją nieomyślność, najwyżsi kapłani wiedzy dowodzili, że cały jego kult jest omylnym. Dogmaty ustanowione przez Piusa IX, spotkały się z zasadami, wypowiedzianymi przez Vogtów, Wallace'ów, Darwinów, Haecklów, Lyellów i innych. Kłątwa, rzucona na swo-

bodę myśli, odbiła się najwyższym tej myśli wzlotem.

Byłoby zapewne mniemaniem jednostronnem przypuszczać, że wszystkie niepodległe zdobycze wiedzy ostatnich dziesiątków lat wynikły jedynie z opozycji przeciw Kurii rzymskiej lub nawet w ogóle z samej opozycji, gdyż nauka dochodzi do takich zdobyczy nietylko negatywną drogą. Trudno wszakże wątpić, że podniesione rozgłaszanie fanatyzmu było bardzo ważną pobudką do pokonania jego niszczącej siły. Klerykalne kłątwy odegrały tu rolę zawad usiłujących zatamować bieg bystrego potoku, o które on się roztrąca, ale które spieniony i wzburzony przeskakuje lub z sobą unosi. Zjawisko to widzimy wszędzie — zarówno we Francji i Niemczech, jak w Polsce. Dawno już nawa państwa nie posunęła się tak gwałtownie w kierunku postępowym na falach dziejów Francji i Niemiec; dawno już u nas swobodna myśl nie wydobylała się z taką energią, jak obecnie. Siła jej wybuchu jest zawsze proporcjonalną do siły oporu. Gdybyśmy żyli w czasach, w których religijny fanatyzm posiadał państwową władzę, moglibyśmy się skarżyć na jego ucisk; dziś jednakże, gdy on posiada akurat tyle fizycznej mocy, ile żywioły mu przeciwnie, lękać się jego grozy nie trzeba. Owszem, niech się jak najdalej posuwa w swem wstecznym dążeniu, gdyż wolna myśl ludzka równomiernie naprzód postępować będzie. Tylko niech z nią nie zawiera żadnych sojuszków, gdyż takie dopiero przymierze jest rzeczywiście dla niej niebezpieczeństwem. Jednostki i narody, zmęczone ustawiczną walką, tęsknią dziś za chwilą umysłowego pokoju, wyczekując od prądów klerykalnych ustępstw i umiarkowania, nie wiedząc, że to umiarkowanie i te ustępstwa, które zawsze dotyczyć będą formy, nie rzeczy, są najstraszniejszym złem, jakiego dla postępu obawiać się należy. Klerykalizm bowiem może się przebrać, ułożyć, wsunąć pazury, ale nigdy zmienić. Umiarkowany pozostanie sobą, tylko okryje się pozorami cywilizacji, odwagę zastąpi przebiegłością, rozbój tajemniczem i zręcznym wyzyskiwaniem. Mniej straszny nieprzyjaciel otwarty, niż podstępny. Gdy ultramontanizm zacznie się mizdrzyć, mniej obesznan z jego naturą umysły pozwolą się zdziwić zdradzieckim uśmiechem i zaledwie po długim doświadczeniu dostrzegą skutki swojego zawodu. Nie pociesza nas to więc wcale, że Kuria rzymska zamierza złagodzić swoją taktykę, bo jakkolwiek oszczędzi przez to narodom wielu strat doraźnych, ale przygotowuje im za to daleko więcej późniejszych. Już instytucja ta była w przeszłości nieraz łamana i restaurowana, a jednakże zamiast się odradzać, coraz bardziej się starzeje. Jeśli ona w XIX wieku śmiała narzucić katolickiemu światu przekonania, na które pierwsze wieki chrześcijaństwa by się oburzyły, to znaczy, że do żadnego istotnego kompromisu z rozumem nie jest zdolna i że wcale jego praw nie uwzględnia. Na krzątanie się rzymskich liberałów około zgody z postępowem, może on słusznie odpowiedzieć:

Boję się Danaów nawet dary niosących. Gdy jezuicki poseł w jednej pole swego złowrogiego płaszcza ofiaruje cywilizowanemu światu pokój, a w drugiej wojnę, świat ten nie powinien nigdy wybierać pokoju.

Z GALICJI.

II.

(Wybór posła).

Dozwólcie mi, jako piszącemu ze Lwowa, dotknąć spraw ogólnych tutejszej prowincyi

i to politycznych, do czego obecny program waszego pisma zupełnie mnie upoważnia. — Pragnę zaś tem ogólnem *exposé* ułatwić sobie zdanie sprawy z „obioru posła”, jaki to wypadek głównie zajmował uwagę miasta i kraju.

Galicja, jak wiadomo, cieszy się autonomią, która się zasadza na krajowym sejmie z władzami autonomicznymi (wydział krajowy, rady powiatowe, miejskie, gminne), oraz na obesłaniu Przedlitawskiej Rady Państwa, konsystującej w Wiedniu. Ten udział kraju w ogólnej reprezentacji państwa nie jest, jak było poprzednio, emanacją sejmowi prowincjonalnego, ale powstaje przez bezpośrednie wybory, jak to sobie na własny użytek ukuli wiedeńscy centraliści i Niemcy, głównie przeciwko opozycji czeskiej i inno-słowiańskiej. Otóż posłowie, z Galicji do Rady Państwa obrani, tworzą tam dwa zwarte, a niestety wrogo dla siebie usposobione kluby: polski i rusiński. Pierwszy z tych klubów, czyli koło polskie, zostaje pod prezydenturą D-ra Grocholskiego i posiada ścisły regulamin swego politycznego postępowania. Regulamin ten przedewszystkiem zastrzega, że żaden z członków koła w żadnym wypadku, bez wystąpienia z klubu, nie może zabierać głosu, stawiać wniosków lub przedsięwziąć jakichkolwiek czynności w Izbie. Wszelkie wnioski posłów rozbiegane są pod gwarancją tajemnicy, niekiedy bardzo długo zachowywanej w kole; tam większością głosów stanowi się, czy wniosek ma być do Izby dopuszczony lub nie; tam wyznaczają się mówcy, tam uchwała sposób głosowania w sprawach agitujących się w Izbie.

Łatwo z tego szkicu ocenić, iż podobny regulamin oddaje całość koła w ręce temu stronnictwu, które tam jest w większości, a ponieważ zasadą utworzenia koła było nie wyznaczenie wiary politycznej, lecz narodowości, przeto wszyscy Polacy zawsze są takiej politycznej maści, jakiej barwie służy większość ich klubu. Tym sposobem społeczeństwo galicyjskie nie wypowiada nigdy przez usta reprezentantów swych przekonania polityczno-społecznych *za* i *przeciw*, nie obsadza różnych praw i środków dwustronnie, ale orzeka tylko tak, jak zapatruje się większość koła, która niekoniecznie może być nawet z większością kraju zgodna, skoro zważymy, iż wybory ciągle jeszcze odbywają się nie pod hasłami politycznymi, ale narodowościowymi. Pominąwszy nawet tę ostatnią okoliczność, kraj nie słyszy donośnego głosu mniejszości koła, bo głos ten nie dochodzi do parlamentarnej trybuny, ale przebrzmiewa w ciasnej salce polskiego klubu w Wiedniu i zaledwie czasami w skróconych podaniach korespondentów przeciska się do ucha wyborców. Ztąd ci ostatni nie mają żadnego środka kontroli, czyli wybrany przez nich poseł dopełnia postawionego przy wyborze programu, to jest, czy reprezentuje właściwie swych mandataryuszów. Jedynym środkiem uniknięcia tej niedogodności byłoby albo obszerne ogłaszanie urzędowych protokółów z posiedzeń koła, czemu się sprzeciwia interes stronnictwa, jako politycznie pojętego, albo stawianie od czasu do czasu posłów przed wyborcami, aby ich zawiadomić o rezultatach swej działalności. Ten ostatni zwyczaj praktykowany w Anglii, a oparty na istotnych pojęciach parlamentarizmu, znalazł początkowo silnych przeciwników w większości koła, którzy w imię wygórowanej solidarności starali się zaprzeczyć mu nawet prawnej podstawy, a więc i zasadę parlamentarizmu: odpowiedzialność posła względem przyjętego programu — zniszczyć.

Te formalne, regulaminowe restrykcyjne, z ręcznym wyzyskiwaniem przez większość — stronnictwo stańczyków — w kole, musiały doprowadzić do kolizji między reprezenta-

cyą a pewnymi frakcyami w kraju, niezadowolonymi, czy jak pierwotnie utrzymywano, niedobrze powiadomionemi o działaniach koła. Sprawę tę różnicy w poglądach kraju i delegacyi w roku zeszłym podniosła pewna część wyborców lwowskich i powołała swych posłów przed siebie, do wytłomaczenia się z polityki. Reprezentantami Lwowa w Radzie Państwa byli Franciszek Smolka i Dr. Julian Czerkawski. Pierwszy, skoro z sejmku krajowego został wybrany do wydziału, to jest sejmowego biura egzystującego nieustannie, złożył mandat, w myśl poprzedniego zobowiązania się, jako reprezentant Rady Państwa; drugi, stanawszy, mimo życzenia większości koła, przed wyborcami, po dość drastycznych scenach i przemówieniach się również oświadczył: że złożył mandat, skoro tylko interesa prowincyi, w owym czasie agitujące się, dozwolą. Tym sposobem Lwów został bez reprezentacyi i stósownie do regulaminów prawa zarządzone nowe wybory. Jeden z nich po D-rze Smolce odbył się dawniej i doprowadził do wyboru D-ra Wolskiego, drugi miał miejsce w marcu i zasługuje ze wszech miar na szerszą opowieść.

Należy nam tylko nadmienić, iż słuszną w podstawie opozycya wyborców lwowskich na nieszczęście znalazła przywódców w redakcyach dwóch tutejszych dzienników politycznych: *Dziennika Polskiego* i *Narodówki*—to jest w ludziach jakby na to stworzonych, aby wszelką akcyę polityczną zawiechrzyć i wszelki w niej udział stanowczo obrzydzić. O dziennikarstwie lwowskiem chwili obecnej pomówimy kiedykolwiek osobno; stanowi ono bowiem ciekawy przedmiot do studyów nad żywiołami anarchii biorącej początek w osobistych interesach, nad żywiołami najdzikszych przeciwieństw zasadniczych i nareszcie umysłowej nędzy. Tu będzie dosyć powiedzieć, że obie redakcyje obu dzienników, skalane najgrubszymi względem siebie kłótniami, procesami, awanturami, w których nie było skrzywdzonych, ale obie strony krzywdzającymi—rozczulając podał sobie ręce, aby raz przeprowadzić własnego kandydata, a zatem powagę „dziennikarstwa” ugruntować. Panowie ci jednak zapomnieli, iż dziennikarstwo polityczne, jeżeli chce wywierać wpływ, powinno zawsze walczyć za prawdę, za interes ogólny, za szeroko pojęty postęp, a nie chodzić, jak dzienniki lwowskie, drogą fałszu, zaścianka, osobistości, gaskonady i obrzydłego szowinizmu. To też w obu razach, przy obu wyborach, poniosło dziennikarstwo haniebną porażkę moralną i, jak mamy nadzieję, usunie się ono przy następnych wyborach od czynnego działania i zostanie tem, czem być powinno, organem pośredniczącym dla stronnictw. — W pierwszych wyborach szło o to, aby pana Jana Dobrzańskiego, redaktora *Narodówki*, posłem do Rady Państwa wybrać; a chociaż usiłowania obu dzienników były zgodne, chociaż wszystko nastrojono po ich myśli—to przecież utrzymał się przypadek i w ostatniej chwili, jakby z nieba spadły kandydat, p. Ludwik Wolski. Ale jeżeli zaciętość walki była zeszłej kampanii niemała, to w obecnej, marcowej, dochodziła do granic natężenia. Wprawdzie, skutkiem przejścia *Dziennika Polskiego* w ręce ks. Sapiehy, rozchwiał się między pismami sojusz czynny, ale ułatwiło to tylko drogę *Narodówce*. *Dziennik Polski* miał może z początku nadzieję przeprowadzenia księcia-protektora, ale upewniwszy się o wątpliwości akcyi, dyskretnie jej nie zaczynał i do ostatniej chwili nie miał właściwego zdania. Zdecydowaną była rola *Narodówki*.

Wybory w Austrii odbywają się w jeden i tenże sam dość ciekawy sposób. Najprzód zwołana plakatami, zbiera się pewna liczba wyborców i ustanawia komitet obszerniejszy, np. ze 130 osób złożony, ten wysadza

komitet ściślejszy, np. z 30 tylko. Ten większością uchwała albo program wyborców, do którego przystępują kandydaci, albo też kandydaci sami stawiają swe wyznania wiary, a komitet jednego z nich zaleca. Taki komitet i taki zalecony kandydat nie obowiązują wcale, aby inne stronnictwo swego kandydata i swego komitetu nie postawiło. Walka wyborcza toczy się dopiero między niemi. Rzadko jednak się zdarza, aby przyszło do utworzenia się dwóch komitetów, przynajmniej w Galicyi; brak istotnych zasadniczych stronnictw uniemożliwia taki obrót rzeczy, a natomiast stronnictwa osobiste starają się wpłynąć na skład komitetów i rozwijają w tym celu demoralizujące intrygi. Różni członkowie to wchodzi do komitetów, to się z nich ostentacyjnie wykreślają, dając tym sposobem znać swym stronnikom, co myślą o działaniach ciał przedwyborczych. W ogóle jednak robota prowadzona jest tajnie, a intryżki wyłażą dopiero po wyborze. Kto zna, jak u nas wyborcy mało są wykształceni politycznie, ten pojmie łatwo, iż kandydat, zalecony przez komitet, zwykle ma szanse obioru; dla tego też pierwszej wagi jest rzeczą zapewnić sobie oba komitety — a ponieważ prawo nie określa ich składu, to człowiek jakich takich wpływów a śmiały sam do tworzenia takich po swej myśli komitetów przystępuje i albo sobie, albo protegowanemu zwycięstwo zapewnia.

Opisawszy tak machinę wyborczą, przystąpmy do określenia samej odyssey, która jeśli zakrawać będzie na farsę, to już nie wina kronikarza, ale wypadków, a właściwie ludzi, którzy te wypadki sfabrykowali. I tym razem jak poprzednio, głównym impressario humorystycznego przedstawienia, zwanego wyborem posła, był p. Jan Dobrzański, osiwiwały instruktor fałszowania opinii publicznej. Lecz pierwsze zaraz kroki przy formowaniu komitetu ostrzegły wytrawnego lisa, iż tym razem winogrona poselskie wiszą wyżej niż kiedykolwiek, i dla tego też p. Dobrzański się zrzekł skromnie własnej kandydatury, a postanowił tylko godnością posła ze swej ręki obdarzyć hr. Artiura Gołuchowskiego, brata b. ministra i namiestnika Galicyi. Nie należy jednak sądzić, aby ten ostatni motyw był podstawą kandydatury p. Gołuchowskiego — przeciwnie, z zalecającej mowy p. Dobrzańskiego przekonano się, iż właśnie dla tego, że p. G. ze s. p. bratem swoim „zupełnie się nie zgadzał”, wybrać go do Wiednia należy. Jakkolwiek takie zalecenie dla człowieka patrzącego z boku i wiedzącego, iż Galicya w znacznej części taktowi zmarłego Gołuchowskiego zawdzięcza swe obecne stanowisko, wydać się może dość dziwnem, dodać jednak musimy, iż hr. Artiur jest zgrzybiałym starcem, iż służył niegdyś wojskowo, a jako człek gorący brał udział w wielu aferach, świadczących niezupełnie dobrze o jego rozsądku i patriotyzmie, jeżeli patriotyzmu nie będziemy odłączać od rozsądku, na sposób galicyjski. W sprawach parlamentarnych i sejmowych p. Gołuchowski udziału nigdy nie brał, lecz to właśnie w oczach p. Dobrzańskiego stanowi wielką zasługę, gdyż obecnie koło polskie w Wiedniu nie potrzebuje wzmocnienia siłami politycznymi, ale jest tam koniecznym „generał”, a do tego hr. Artiur podobno posiada wszelką kwalifikacyę.

Wskutek takiej logiki przemawiającej i trafiającej, co dziwna, wprost do głów lwowskich, przesłaby spokojnie kandydatura hr. Artiura, ile że kilku pozornie stawionych kandydatów, jak p. Karol Gromann, Dr. Opolski, Dr. Rayski, zrzekło się tego zaszczytu, gdyby przeciwna p. Dobrzańskiemu partya, nie mając na razie odpowiedniego kandydata, nie wyciągnęła starego, dobrze zasłużonego nazwiska Dr. Fr. Smolki

i nie rzuciła go na arenę parlamentarnych bojów. Przeciwno p. Smolce zrobiono ten zarzut, iż dopóki jest w wydziale, nie może przyjąć poselstwa do Rady wiedeńskiej, skoro dla tego powodu poprzedni mandat złożył, i że ogół wyborców nie wie, czy, będąc wybrany, obowiązek przyjmie. Otóż dla usunięcia tych wątpliwości, wyprawiał komitet po dwakroć do p. Smolki posłów, aby go zapytali, czy chce kandydować, oraz wywieździeli się, co p. Smolka myśli o programie wyborów. Szanowny jednak poseł wywinął się tym razem odpowiedzią nakształt wyroczeni Delfickiej; wyznał: iż nie kandydatuje i kandydować sobie nie życzy, ale jeśli mimo to zostanie obrany, a wydział się zgodzi, to on wybór mógłby przyjąć. Konkluzji tej nie rozumiano od razu, a pertraktacye i chodzenia posłów zjadły czas przedwyborczy, tak, że ogół długo nie wiedział: czy Smolka kandydatuje, czy nie i czy należy lub nie należy na niego głosować. Nie omieszkało też przeciwko Smolce podnieść i wyzyskać zarzutów, iż jest on przeciwnym programatowi lwowskiemu, czynnych manifestacyj w Radzie Państwa żądającemu i że cała jego kandydatura wygląda na kontrminę przeciwko Gołuchowskiemu, a nie na robotę seryo prowadzoną.

Ale sądzonem było Lwowu, aby w szranki boju wstąpił zapasnik trzeci, doświadczony niejednokrotnie, bo oddawna wieczysty kandydat do poselskiego stołka, p. Rewakowicz. Znacze go? Ten oryginalny trybun miasta Lwowa powziął raz niefortunną myśl wystąpienia jako kandydat do Wiednia w zniemczonem na Szląsku mieście Bielitz (Biała) i podpisał centralistyczny program, na skutek czego otrzymał przy wyborach jeden głos. Wszędzie indziej podobny kazus parlamentarny autonomiczno-narodowościowego trybuna ośmieszyłby go i uczynił raz na zawsze jego zawód na tej drodze niemożliwym. U nas przecie inaczej! Śmiano się potrochu z owego wypadku, ale to nie przeszkodziło panu Rewakowiczowi grzmieć przeciwko centralistom Niemcom i zyskiwać sobie rubaszną wymowę, w której celuje „łyków przedmieściowych”. Nie przeszkodziło mu też, tak poprzednio, jak i teraz, wystąpić do krzesła poselskiego ze Lwowa, jedynie na żądanie kilkunastu wyborców, jak się skromnie list do komitetu wyrażał. Dało to p. Rewakowiczowi powód do powiedzenia długiej mowy na temat wysokiej polityki europejskiej, w której przeźornie wstrzymał się od gburowatości, jaką zwykł zaprawiać swe krasomówcze wystąpienia. Mowa dobre wywarła wrażenie, zawierała istotnie kilka myśli trafnych, toczyła się barwiście i poruszała na gruncie znanych tutejszych zasad o wielkiej misyi austriackiej, która stanowi oś wszelkich rozumowań, a czas niestety pokaże, że jest tylko jak wiele innych idei—złudzeniem.

(D. n.)

KRÓLEWSCY SYNOWIE.

Powieść z czasów Władysława Hermana i Krzywoustego
przez J. I. Kraszewskiego.

W chronologicznem następstwie treści powieści historycznych zjawily się przed nami cztery tomy opowiadania Kraszewskiego z czasów bogatych w krwawy materiał dla powieściopisarza i smutnych dla historii. Na tronie, podminowanym śmiercią Stanisława Szczepanowskiego, siedział sochorzawy Władysław — król bez królewskiej korony, bez woli, którą kierował ambitny palatyn Sieciech, wyzyskując ją na swą korzyść, i bez syna, któryby mógł młodszą dłoń w następstwie podźwignąć upadające królestwo, dodać nowego blasku i siły do

zgruchotanej przeszłości. Zbigniew, syn nieślubnej małżonki Władysława, z woli duchowieństwa, niechętnie poczynającego patrzeć na przyjęty z dawna zwyczaj obywateli się bez ślubów kościelnych, zamknięty w klasztorze, a odprawiane modły po całym kraju długo nie zwiastowały brzemienności Judyty Czeskiej. Za łaską dopiero cudownego patrona Prowancyi s-go Idziego, który na ofiarę dostał postać chłopca ulanego ze złota i dary królewskie, Judyta porodziła Bolesława i wkrótce go osierociła. Od tej chwili niemal rozpoczyna się dla Władysława Hermana szereg ciosów, któremi szczerze go obdzielali sąsiedzi chciwi łupu, druga żona *de jure* a *de facto* trzecia—Judyta siostra cesarza, knująca spiski wspólnie ze swym nałożnikiem Sieciechem. Zbigniew, domagający się swych praw pierworodztwa, i nareszcie Bolesław, ukochany syn, broniąc swego życia i władzy przed zbrodniczym zamysłem Sieciecha, ranił skołataną serce ojca, wyrębiając mu z niego mieczem przyjaciela i jedynego powiernika. Około tych głównych postaci grupuje się jeszcze kilka osobistości historycznych dużego znaczenia, jak Marcin arcybiskup gnieźnieński, Baldwin biskup krakowski, Lambert spowiednik Władysława, Magnus namiestnik wrocławski i Skarbimierz (habdank), Wojsław, ochmistrz Bolesława i kilku innych. Planem powieści jest walka na zewnątrz i wewnątrz kraju, a motywem krwawy stosunek dwu braci dążących do całkowitego owdzielenia panowaniem nad państwem pomiędzy nich podzielonym.

Powieść rozpoczyna się przybyciem do saskiego klasztoru obrażonych i zbuntowanych przeciw absolutyzmowi Sieciecha Szlązaków, którzy w wydostaniu Zbigniewa z „klasztornej studni” i postawieniu na czele swoich widzieli nadzieję ukrócenia samowolności wojewody wojewodów. Zbigniew, rwący się do życia, brutalny, namiętny, pełen szyderstwa na ustach, ośm lat „marł zaszyty w tej sukni”, którą się brzydził i która mu tamowała drogę do urzędowania królewskich marzeń, nie przeczuwając, jaki los sobie i krajowi zgotuje, wydostając się z tej „dziury”. Zaledwie zdążył przybyć do Wrocławia, już gońce z Płocka przyniesli wiadomość, że Sieciech prowadzi nań wojsko, ojca i młodzieńczego brata. Pobity na głowę pod Kruszwicą, uratował w ucieczce życie po to, aby truć je lat kilka w nowym więzieniu, szerszym od poprzedniego, na zamku gnieźnieńskim. Udaną pokorą umiał tu sobie zaskarbić łaski arcybiskupa Marcina, który go na widownię życia wpływem swym wyprowadził, wyprasząc wbrew woli Sieciecha u Władysława część królestwa dla pierworodnego syna. Odtąd rozpoczyna się szereg niechęci zakończonych walkami pomiędzy braćmi, niezadowolonymi podziałem i niechęciami się oddać pod zwierzchnią władzę jednego z pomiędzy siebie. Bolesław Krzywousty, rozgrzany zwycięstwami i wierzący w siłę oręża, obawiał się o los państwa w rękach Zbigniewa; a Zbigniew wykształcony w klasztorze, nieumiejący się obchodzić z bronią i lekceważący jej znaczenie, szukał sposobów wytrącenia jej z rąk brata bardziej skomplikowanymi środkami. Scierające się ambicje sporzyły krajowi nieszczęścia domowej wojny aż do chwili, w której Zbigniew wyzionął ducha pod nożem oprawcy. Szczęście sprzyjało pierwszemu, drugiemu los zgotował same tylko przeszkody, do zwalczania których nie dał mu dostatecznej siły.

Kraszewski całe cztery tomy poświęcił na przedstawienie zbyt tendencyjne kontrastów pomiędzy braćmi, na każdym kroku odsadzając od czci i wiary Zbigniewa, na wyłączonej pochwałę Bolesława. Uzupełniają dytamyby Gallia i rozszerzając poetyczne jego omówienia na cześć „wilczego sy-

na”, autor *Królewskich Synów* w pospiechu zapewne tylko pisarskim kładzie częstokroć w usta Bolka, kilkunastoletniego podrostka, słowa, których znaczenia mężowie stanu późniejszych wieków nie rozumieli dostatecznie silnie. Od zabijania dzików i niedźwiedzi w zaraniu życia można z łatwością dojść przy ciągłej wprawie do olbrzymiej siły w tłuczeniu Pomorców, ale poświęciwszy całą młodość wojaczce, wyrębiając własną ręką nieprzyjaciół z granic i za granicami kraju, trudno wyrobić w sobie tyle zmysłu politycznego, aby chłopcem głowąśmym będąc, umieć zakrzyknąć:

„W pokoju?! zapytaj, czy ci go Pomorcy dadzą? Mężny to lud, niespokojne plemię, srogie, okrutne, przebiegłe, ale dobrze z niem, bo nam zgnuszyć nie dadzą; podbić ich potrzeba, nie wiem, krzyżem czy mieczem, nawrócić i zagarnąć, abysmy *morze mieli*, brzeg swój i na cały świat drogę! Bez niej tośmy jak obmurowani w więzieniu! Jeśli się nie nawrócą, choćby ich wytępić przyszło, *morze nam potrzeba mieć, lub nie żyć!*”

Przez cały ciąg powieści Bolko nie przestaje być dzieckiem, zarówno do miecza zapalczywym, jak i naiwnym. Nie lubi Zbigniewa i od czasu do czasu rzuca mu się na szyję z dobrą wiarą i z całym uniesieniem, nie podejrzewając podstępów przygotowywanych lub spełnionych przez brata. Pogromca Pomorców, Czechów, Morawian, wielki zwycięzca Niemców na *Psiem polu*, nie mógł do tyła panować nad krewkością temperamentu, aby za najłżejszym ozwaniem się surm wojennych nie pobiedz na rozbicie głowy zapalonych marzeniami o wojennej sławie. Choć nieuczony w klasztorze, umie on mówić aż nadto retorycznie i nie skraca sobie drogi przyzwoitego omawiania rzeczy wyrzucaniem słów silnych, dosadnych i prostych, jak na wiek XII przystało. Bolko Kraszewskiego nie jest dzieckiem swego wieku. Nie łupi, nie grabi, nie morduje, nie pali i ze smutkiem przypatruje się zdobytym skarbowi na Kołobrzegu. Ten Bolko, gdyby nie wyrażny wstręt do płci pięknej, mógłby doskonale zastąpić miejsce księcia Józefa Poniatowskiego. Śmierć nawet Zbigniewa, po której on tak długo się modlił, pokutował, wędrówki liczne po kraju i za granicą do miejsc świętych odprawiał, nie ciąży na sumieniu bezpośrednio Bolka, pomimo że Gall, jego panegirysta, powiada: „Obwiniamy Zbigniewa a Bolesława niewinniamy? *Bynajmniej...* Radami mędrców do największego oburzenia doprowadzony, do zbrodni się posunął, chcąc przez usunięcie nieprzejednanego wroga spokojne panowanie nadal sobie zapewnić”. Tak wyidealizowany Bolko nie robi wrażenia bohatera-wojaka, lecz dziecka z olbrzymim w rękę mieczem.

Zbigniew jest to zbrodniarz skończony, ze szczególniejszą miłością przez Kraszewskiego na każdym kroku piętnowany. Autor wypruwa z niego żyłę po żyłę i pokazuje czytelnikowi, ile podłej krwi w nich płynęło. Lubieżny, gnuśny, sprośny, opilec, przechiera, ustawiczny spiskowiec, nie zadawał na się naprowadzeniem nieprzyjaciół, ale jeszcze przy najściu Henryka V-go na Polskę doradza Niemcowi przywiązanie zakładników głogowskich do taranu, aby Głogowianie nie śmieli własnych dzieci mordować. Wszystkich okpiwa sprytem i wymową, a nie może doprowadzić do zamierzonego celu. Wszyscy go odstępują, wszyscy go nienawidzą i starają się zgubić. Otoczony zgrają łotrów i przybłędów, jest pośmiewiskiem nietylko dla Bolkowej drużyny, ale nawet dla swojego kraju. W scenie przy zwłokach ojca z jednaką burdą z Bolesławem wydaje rozkazy zajęcia w posiadanie płockiego skarbcza, jednako obelżywymi traktują się obaj bracia słowami, ale nie jednakowo wyszli z niej napiętnowani obu-

rzeniem autora za niekrępowanie właściwe wiekowi namiętności. Jak przy takim kompleksie samych ujemnych stron Zbigniew mógł się utrzymać kilkanaście bądź co bądź lat na swym udziale? Że znalazł chętnych sprzymierzeńców w Pomorcach, Czechach, lub Niemcach, godzących na całość kraju, dziwić się nie można; ale jakim sposobem potrafił sobie zjednać popleczników, naprzód w Szlązakach, a potem w Mazurach? Jak oszukał duchowieństwo i arcybiskupa Marcina, po kilkakrotnym wypędzeniu wypraszających siedzibę lub łaskę dla niego u Bolesława,—w tych warunkach zrozumieć nie podobna. Tyle nieszczęść spowodowanych na kraj nie mogło zdecydować Bolesława do ograniczenia mu swobody szkolenia; dopiero schwytywanie zbira namówionego do „przebiecia Bolesława sztyletem lub innym narzędziem ostrem” wydało Zbigniewa w ręce oprawcy. Tenże sam panegirysta Gall „sądzi raczej, iż to przez samych złych doradców w jakichś celach zmyślonem było, a przy zarzutach wszystkich jeszcze się nie zgadzało z rzeczywistym usposobieniem Zbigniewa, który na pomysł takiej zbrodni zapewneby się wzdrygnął”. Obłudny „klecha” wychowawiec klasztoru, z równą wzdryką patrzy na suknie duchowne w scenie uwiezienia go z Saksonii, jak i wobec śmierci rozmawia się z O. Łukaszem, przyslanym mu dla spowiedzi. Charakterystyczny ten dialog, z opuszczeniem refleksyi autora przytaczamy jako dzielnie malujący pragnienie życia w Zbigniewie i cierpliwość księdza chcącego przynieść ulgę skazanemu ustawicznem: „*Módlmy się!*”

— Klechą przebrzydłym byłeś i będziesz!

— Ojciec miłosierdzia!...

— Dajże mi pokój z tą modlitwą! zaryczał głos z łoża. Powiedz im, że przygotować mnie potrzeba.... Niewyspowiadanego mnie zgładzą!... Dosyć tego!

— Módlmy się!...

— Milez klecho!.. Powiedz im, że wściekły, że spowiedzi słuchać mnie nie mogłeś.

— Módlmy się!

— Mówiłem — krzyknął — ani się modlić, ani spowiadać nie mogę, nie chcę, nie będę...

— Nie będą śmieli zadać mi śmierci w stanie grzechu! Dla tego zdrójce was tu nasłali, z waszą kleszą pokorą i błaganiem abyście mnie przygotowali im na pożarcie... Macie jak kucharz przyprawić im pastwę! Nic z tego.... Nic!... Nic!...

Nagle, jakby doprowadzony do niecierpliwości, książę zerwał się z posłania, chwycił O. Łukasza za barki i popchnął go ku drzwiom, w które obu pięściami bić począł.

Stróż otworzył. Zbigniew, nie dając ani przemówić, ni się odwrócić księdzu, wyrzucił go za próg.

Książę więcej nie wrócił już godzić potępionego z Bogiem. Na jego miejsce wszedł oprawca z żelazem i zamiast w oczy, ugodził niem broniącego się w serce.

Świat kobiecy w powieści reprezentowany jest tylko przez Judytę, królową i jej narzędzie, Gretę. Obie one, jako cudzoziemki, nie mają nic wspólnego z charakterem naszych kobiet i roli ich w ówczesnym społeczeństwie nie reprezentują wcale. Judyta, knująca spiski z Sieciechem na życie króla i jego synów, jest tylko echem słów palatyna, któremu się wciąż nadstawia. Nic coby znamionowała królową-rozpustnicę. W powieści jest ona tylko ślamazarną nierządnicą, niemającą do tej roli odpowiedniego temperamentu. W razie niepowodzeń Sieciecha umie się złościć tylko wobec kochanki, bez niego nie zjawia się wcale. Z chwilą wydalenia z kraju Sieciecha nie ma już o niej mowy. Raz tylko, przysłany na zwiaady Sieciechowcy pacholek, wypytując „kto tu Sieciechuje”, nasunął autorowi myśl o Judyty.

